

- CIEKAWE POWIEŚCI -



KAZIMIERZ ŁASKOWSKI

ZROŚLI Z ZIEMIĄ

TOM II

□ WYDAWNICTWO GEBETHNERA I WOLFFA □

Bezpłatny dodatek „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO”

ZROŚLI Z ZIEMIĄ.

CIEKAWY POWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM
POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 7 □ Lipiec 1913

ZROŚLI Z ZIEMIĄ. Tom II.

Redaktor:
ARTUR OPPMAN (Or-Ot). □ Wydawcy:
GEBETHNER I WOLFF.

KAZIMIERZ LASKOWSKI

▽▽

ZROŚLI Z ZIEMIĄ

OPOWIEŚĆ

Tom II.



WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP. □□□□ 1913



71349/2

I.

DRUKIEM PIOTRA LASKAUERA
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.

K-22/72/68351

Chrzest Dziuchny miał się odbyć z wielką pompą. Takie było wyraźne życzenie dziadka.

Proński, chociaż jeszcze niekiedy zięcia „złamaniem herbowej tarczy Oźgów“ sekował, chociaż o „kądzielce“ wyrażał się niby z lekceważeniem, coraz częściej jednak dawał się słyszeć ze zdaniem, „że taka myrdka warta stu chłopaków“, ostatecznie zaś, na parę dni przed uroczystością rodzinną, wręczając Krzysiovi list zastawny „za wnusie“, ucałował go serdecznie, mówiąc:

— Weź-że na kosztą... a nie żałuj! Trzeba pannę w świat wprowadzić od razu... Niech ludzie wiedzą... panie! bo to uroda! uroda! Będzie kiedyś chłopców za nos wodzić...

Jakoż Krzys nie myślał całkiem „żałować“, lecz rozesławszy listy z zaproszeniem do wszystkich „kochanych a łaskawych“ sąsiadów, postanowił in gratiam tak radosnej okazji wyprawić fetę co się zowie.

Pomijając już inne względy, osobiście uśmiechało

mu się to bardzo. Po tylu tygodniach, spędzonych na strapieniach i smutkach, Ożga sam dla siebie łaknął weselszej chwili i nie umiał się oprzeć pokusie, tem bardziej, że czuł się niejako zobowiązanym względem teścia.

I chociaż niekiedy przychodziło mu do głowy, że możnaby z posiadanych pieniędzy lepszy bądź co bądź zrobić użytek, rozgrzeszał się łatwo, tłómacząc samemu sobie, że „mniej czy więcej“ już go nie zbawi, a „co się należy, to należy“.

Nadszedł wreszcie dzień wyznaczony. „Święta Barbara po wodzie“ zesłała dzionek mglisty nieco, ale piękny i tak ciepły, że na dobrą sprawę można było bez obawy zaziębienia „córuchny“ ceremonii dopełnić w kościele.

Chodziło jednak o matkę, której lekarz nie radził jeszcze wychodzić na powietrze, ta zaś bardzo pragnęła być obecną przy obrzędzie. Z tego zatem względu cała uroczystość miała się odbyć w domu, w przystrojonym w kwiaty salonie, zaraz po wotywie, na intencję małej chrześniaczki odprawionej, na którą też wybrali się z rana chrzestni z Ożgą.

I wszystko składało się jak najlepiej. Tylko Krzysiowa miała z sobą i z „nieznośną“ Dziuchną trochę kłopotu.

Mając wystąpić pierwszy raz w nowej randze matki, chciała pani Krzysztofowa być piękną... bardzo piękną! A tu, jak na złość, wszystkie lepsze sukienki okazały się za ciasnymi. Jeszcze ze spódniczkami pół biedy! ale staniki były stanowczo nie do użytku.

Podobne nieszczęście spotkało córuchnę, z tą tylko

różnicą, że, choć paradna muslinowa sukienka z haftami była zupełnie prawie, chociaż było w niej „skrzeczkowi“ bardzo do twarzy, jednakże nieprzewidziany wypadek podczas robienia toalety zmusił zmartwioną tem bardzo Jadwinę do przebrania malutkiej w inną sukienkę, mniej ozdobną i bez haftów.

Sama też Jadwinia, namajstrowawszy się daremnie nad „popuszczaniem“, z konieczności wróciła do wolnego z różowej piki szlafrocza. Tylko w lekko zwinięte w „muszlę“ płowe sploty wpięła kiść kwitnącej pelargonii...

A było jej w tem tak ładnie, tak uroczco, że gdy wrócono z kościoła, Franio Chojnacki, który Krzysztofową po paru miesiącach niewidzenia pierwszy raz zobaczył, stanął jak wryty, patrząc przez chwilę, jak w cudowny obrazek.

Potem zaś, gdy mu „skrzeczka“ sprezentowano, a Ożga zaczął dopytywać: „A co? a co?“ wziął się za głowę i więcej na matkę niż na małeństwo spoglądając, zaczął:

— Jakie to śliczne! naprawdę śliczne! Pojęcie przechodzi... Aż tu słodko!

I na krtań pokazawszy, jał potrząsać rękoma Krzysia serdecznie.

Więc Jadwinia, zarumieniona cokolwiek, podszedłszy bliżej, rzekła:

— A widzi pan!

A potem dodała ciszej:

— Trzeba brać przykład... panie Franciszku! szcze-

ście samo nie przychodzi... Trzeba szukać i znaleźć. A pan... powinien znaleźć z pewnością...

— Ja też szukam i... znalazłem... — odrzekł, siląc się na uśmiech. — U was... U państwa... — poprawił się. — I proszę wierzyć, że w tej chwili niczego więcej nie pragnę i nikomu nie zazdroszczę — dokończył.

A wymówił to tak jakoś dziwnie miękko, z taką zacnością, tak szczerze, że Jadwinia, która wiedziała o uczuciach Chojnackiego, bo się z niemi nigdy nie taił, uczuła teraz żywą wdzięczność i większe jeszcze poszanowanie dla tego człowieka, co tak szlachetnie, na widoku cudzego szczęścia poprzestając, tem samem wiernej dbałości o jej szczęście i spokój składał dowody.

Więc podając mu rękę, którą on skwapliwie do ust poniósł, przemówiła:

— Pan jesteś bardzo pocziwy, panie Franciszku!... bardzo dobry... i dlatego Bóg panu wynagrodzi... A ja... oboje z Krzysiem zawsze szanować będziemy i kochać jak brata...

Chojnacki przybladł, chciał jeszcze coś odpowiedzieć, ale w tej chwili Krzyś, który był przed chwilą wyszedł, wpadł jak bomba, prowadząc świeżo przybyłych gości.

Ci zaś zaraz otoczyli Jadwinę kołem. Zaczęły się powinszowania, życzenia, pełne podziwu wykrzykniki nad pierworodną, która początkowo przyjmowała te owacy dość zyczliwie, ściągając usteczka i pokazując różowe dziąsółka, ale w końcu zmrużywszy chabrowe ślepki, zaczęła piszczeć w niebogłosy, że aż ją do drugiego pokoju wynieść musiano.

Wtedy Julka Bortnicka, której do nowej godności pilno było, zaczęła buntować dziadków, aby na przyspieszenie ceremonii wpłynęli.

— Nikogo już prawie nie brakuje... A maństwu spać się chce — przedstawiała.

Więc zaraz oboje Prońscy, przywoławszy zięcia, jeli naglić, żeby nie zwłóczył bez potrzeby, skoro wszystko już na pogotowiu.

— Chciałem się Szaławy doczekać. Jakoś go nie wi-
dać — odrzekł Oźga.

— Nie bój się! przyjedzie później. A zresztą obejdzie się bez niego — zapewnił Proński.

A pani Tekla, która od czasu rozmowy z Barszczewskim niebardzo przychylnie była dla „księcia“ usposobiona, potaknęła:

— Zupełnie obejdzie! Przyznam ci się, mój Krzysiu, że nawet lepiej, że go niema... Zaraz byłaby pijatyka...

— Jednakowo dziwi mię, że nie przyjechał — odpowiedział jeszcze Krzyś, który radby był w tej chwili wszystkich towarzyszków „broni“ mieć przy sobie. Ale nie chcąc się sprzeciwiać rodzicom, natychmiast podszedł do rozmawiającego z Barszczewskim kanonika i za chwilę wszystkie trzy pary kumów wyrzekały się już w imieniu Dziuchny „czarta i wszystkich spraw jego“, nie zważając na iście pogański upór maństwa, które, krzycząc przeraźliwie, myrdało niespokojnie rączkami i nóżkami tak, że dziadkowi się jedno porządne (jak opowiadał) fiknięcie w samą brodę dostało.

Podczas ceremonii pani Krzysztofowa, klęcząc, mo-

dliła się gorąco o dalsze, takie samo szczęście dla siebie i... wszystkich, Krzys zaś, pomodliwszy się również, z radosnem sercem czekał niecierpliwie końca, bo mu się już strasznie za zdrowie „córuchny“ wypić chciało. Żałował przytem, że Szalawy niema.

— Coś „księcia“ zaskoczyć musiało, skoro nie przyjechał — rozmyślał. — A może się obraził o co? Może...

Ale pan Szalawa nie obraził się bynajmniej. Inne powody opóźniły jego przyjazd.

Szalawa, odebrawszy zaproszenie, ucieszył się wielce, bo nie widując Ożgi od czasu owego jarmarku, już był za nim na seryo zatęsknił. Przytem węsząc bibkę, zawczasu lyktał ślinkę.

— Już to tam Krzych obleje ojcostwo! obleje — rozważał, szykując się w dzień uroczystości do drogi.

Frasował go jedynie prezent, bo przecie „z gołemi rękoma“ nie wypadło.

— Żeby to jeszcze chłopak — rozmyślał, łamiąc sobie głowę nad wynalezieniem czegoś odpowiedniego — tobym mu albo kuca, albo smycz chartów przychowal... ale dziewczyna... A bez tego ani rusz! Dziecko Krzycha przecie...

Wreszcie po długich poszukiwaniach wynalazł z lepszych czasów uratowaną szczęśliwie od zagłady szpilkę z soliterem. Podarek wydał się Szalawie dość właściwym dla płci pięknej, więc wyczyściwszy starannie klejnot, owinał go we wzięty od gospodyni kawałek niebieskiej wstążki i, nie tracąc czasu, kazał zaprzęgać, sam zaś zaczął się pośpiesznie ubierać, aby się na zapowiedzianą w liście wotywę nie spóźnić.

Zanim jednak karosze zaszły, wpadła do pokoju zadyszana jedna z dziewczek z wiadomością, że „ktoś“ jedzie...

Szalawa, nie dokończywszy toalety, zarzucił co prędzej szlafrok i pobiegł do okna. Na dziedziniec wjeżdżała właśnie żółta najtyczanka, zaprzężona w parę srokatych kobyl.

Szalawa poznał ekwipaż.

— Stemplowicz! komornisio! — mruknął, ale się nie przestraszył i z najlepszą miną wyszedł na powitanie.

„Książę“ był już z takimi wizytami otrząskany, przytem wiedział z góry, że mu się nic złego stać nie może. Miał też Szalawa i służbę tak wyćwiczoną, że, nie czekając rozkazu, sama usuwała w takim „wypadku“ wszystko, co jakakolwiek wartość miało. Nie było zresztą tego wiele, bo książę „gratów“ nie lubił, a w „fatalaszki“ się nie bawił, całą garderobę w jednej szafie pomieszczając. Więc też w razie niebezpieczeństwa nie było zbyt wielkiej subiekcyi.

Psiarek spuszczał psy, które na chwilę ujadaniem zatrzymywały niemilego gościa, sam zaś wbiegał co tchu od tyłu do pokojów, chwytal walizkę z rzeczami, flinty — nogi zapas i w pole. Wierna gospościa czyniła toż samo ze stołową bielizną i srebrem, drałując do najbliższej chaty; stangret czmychał z karosami, pastuch wypuszczał stadninę na cztery wiatry, a pan Szalawa, gdy wymiarkował, że już wszystko załatwione, wybiegał przed ganek i z najlepszą miną zapraszał opędzających się psom gości do środka. Potem zaś raczył czem chata bogata, bez najmniejszej obawy, pewnym będąc, że „czynność“ nie sprowadzi szkodliwych skutków.

Miał nawet pasję drażnienia się, zwłaszcza gdy komornik przybywał w asyście wierzycieli. Z największą uprzejmością otwierał wszystkie pokoje, oprowadzał, wodził do śpichrza, stodoł, stajen, gdzie najczęściej nie już nie było, to zaś, co zastawano, jako „przywiązane do gruntu“, zajęciu nie podlegało.

Pan Szalawa bawił się wtedy wybornie, z udanem ubolewaniem pytając:

— Może panowie życzą sobie coś więcej jeszcze obejrzyć? To służę... I owszem! Mamy jeszcze dość czasu do zachodu słońca...

Wizyty kończyły się zwykle dopełnieniem jedynie formalności, po której „książę“ zapraszał komornika na przekąskę, podawaną przez ostrożność na fajansowych wyszczerbionych talerzach, wierzyciela zaś wysyłał bez skrupułu do wszystkich dyabłów, bo z drugiej strony o hypotekę Zabłocia nie miał strachu. W księdze wieczystej dziedzictwa Szalawy, prócz „Towarzystwa“, figurowała tak znaczna suma dożywocia jakiegoś wuja „księcia“, na szczęście cieszącego się dobrem zdrowiem, że o przymusowej sprzedaży mowy być nie mogło, gdyż nowonabywca musiałby był skwitować z dochodu i jeszcze z kieszeni dokładać.

Pan Szalawa zaś nie czynił tego, bo nie płacił wcale, a dożywocia nie wykreślał, i siedział spokojny jak za chińskim murem, kpiąc sobie z wierzycieli i drwiąc z „czynności...“

Bywało jednak niekiedy, że komornik zjeżdżał tak zniechęcony, że zwykle środki ostrożności nie wystarczały, a interwencja psiarczyka Grzesia, gosposi i stangreta

przychodziła za późno. Zaskoczony Szalawa znajdował wtedy skuteczną pomoc w wyźlicy Pigwie.

Suka była nader „enotliwa“, aportowała znakomicie i prawie ludzkie myśli zgadywała. Więc „książę“ w krytycznej chwili rzucał się w objęcia komornika, ścisnął, całował, a równocześnie dawał oczyma znak Pigwie, która łaszcząc się podchodziła z boku, wyciągała urzędnikowi z pod pachy skórzaną teczkę z dokumentami i w nogi!...

Pan Szalawa gwizdał, nawoływał, gonił, wysyłał ludzi za „niesforeną bestyą“, nim jednak sukę schwytano, było zwykle dość czasu na usunięcie zagrożonych ruchomości.

I znów kończyło się na niczem.

W ten sposób prowadził Szalawa interesa od lat kilkunastu. Płacił wtedy, gdy miał ochotę, choć z drugiej strony przyznać należy, że skoro tylko był przy pieniądzach, regulował należność terminową nawet.

Lecz komornikiem nikt jeszcze u „księcia“ nie nie wskórał. Dlatego też i teraz widokiem Stemplowicza bynajmniej się Szalawa nie stropił.

Wyszedł naprzeciwko i, niby wielce uradowany, rozkrzyżował ramiona do uścisku, wołając:

— Kochanego, dawno niewidzianego komornis'a do brodzieja! Powitać... powitać!... Dokądże bogowie prowadzą?! bo z „czem“, to się domyślam... Proszę... bardzo proszę... czym chata bogata, tem rada... Tylko proszę wybaczyć nieład... zwyczajnie jak w kawalerskim domu... Proszę... serdecznie proszę! stęskniłem się za kochanym łaskawcą, dalibóg!

I krzyczał tak, roztwierając drzwi na ścieżaj, i zapraszał do wnętrza. Wreszcie zaczął przybyłego serdecznie ścisnąć, obcałowywać na wszystkie boki, do pokoju ciągnąć, gdzie już stały uszykowane na stole butelki starki i przekąski.

Więc Stemplowicz, znający zresztą zwyczaje „księcia“ na wylot, ścisnąc silnie w rękę teczkę, po licznych ukłonach i podziękowaniach zaczął uprzedzająco:

— Interesik... maleńki interesik, panie dziedzicu dobrodzieju! Bagatelka! drobnostka... Człekby nierad! ale cóż? Służba wolność traci...

— Rozumiem! rozumiem! Ale interes interesem, a starka starką — wtrącił Szalawa, przypijając. — W ręce kochanego łaskawcy!

Stemplowiczowi nie śpieszyło się do „czynności“. Z miny Szalawy poznał, że już wszystko przygotowane. Więc biorąc napełniony kieliszek, rzekł:

— W ręce dziedzica dobrodzieja!

— Na drugą nogę!

— Niechże i tak będzie... Ale przedewszystkiem obowiązek. Pozwoli dziedzic dobrodziej, że objaśnię powód mego przyjazdu. Może się jaka rada znajdzie...

— A może — potaknął lakonicznie Szalawa.

— Otóż — opowiadał przybyły — właściwie wstąpiłem tu tylko w przejeździe... przypadkiem... i jadę dalej...

Pan Szalawa nalał w kieliszki.

— A gdzież? — spytał obojętnie. — Ale napijmy się. Zamróż po kościach chodzi... Nie zawadzi...

Wypili.

— Więc komornisio dobrodziej nie do mnie? — zagadnął znów po chwili „książę“.

— I tak i nie! Bo przy okazji mam i dla szanownego dziedzica prawomocny wyroczek od Nuty... przy okazji! Ale właściwie jadę do Kościeszówki...

Wzmianka o Kościeszówce zaniepokoiła Szalawę nie na żarty. Wiedział, czem to pachnie.

— A to siurpryza! w sam raz na chrzciny... Dopiero się Krzych skręci przy gościach — myślał i począł Oźgi serdecznie w duchu żałować i przemyśliwać, jakby temu, co usłyszał, zapobiedz.

W pierwszej chwili miał zamiar prosić Stemplowicza o zwłokę, wyjawiając mu prawdziwy stan rzeczy. Ale pomiarkował się w porę, że otwartem wystąpieniem w razie odmowy pogorszy jeszcze sprawę.

— Gotów naumyślnie jechać... żeby bigosu narobić. Ja go znam! — rozważał zafrasowany, spoglądając chmurnie na Stemplowicza.

Ten, biorąc malujący się na twarzy „księcia“ niepokój za troskę, wywołaną żądaniem Nuty, zmięczony już niece trzecim kieliszkiem starki, począł uspokajać.

— E... bo to dziedzic dobrodziej zanadto wszystko bierzesz do serca. Drobnostka... Jakiś tysiączek, nie więcej... Możeby się dało polubownie rzecz załatwić? Radziłbym...

Tymczasem Szalawa ukradkiem napełnił próżny kieliszek komornika.

— A jeśli nie — łagodził w dalszym ciągu Stemplowicz.



wicz — to bez subiekcyjki, tak w cztery oczy... zrobimy mały opisik... Pan dziedzic podyktuje sam... co łaska... Pies się nie dowie! Licytacyjkę naznaczymy za... za... dwa miesiące... Pierwsza może spełznąć... potem druga i tak dalej i doczekamy szczęśliwie „nowego“. Wtedy już pół biedy... Jakże pan dziedzic uważa?

Szaława w miejsce odpowiedzi ukazał pełny kieliszek.

— Cóż to, radca gardzi? a to ładnie! Nie spodziewałem się, dalibóg! — przemówił ciągle zachmurzony, z głęboką urazą w głosie.

Stemplowicz wypił skwapliwie, przeprasząc. Szalawa znów napełnił kieliszki i, znakomicie udając strapionego, począł żałośliwie:

— Duście szlachtę! Duście! Ostatnie ciele z obory... Ładne czasy! każdy woła: oddaj! ale skąd brać, nie pyta... Człowiekowi ledwo na łyżkę stawy starczy... Ale co was to obchodzi!? Skórę z nas ściągacie... skórę! powiadam. I to się nazywa sprawiedliwość! Doprawdy, ostatnia desperacja bierze! Ale co tu dużo gadać... Najijmy się lepiej, bo nic mądrzejszego nie wymyśle. W ręce kochanego radcy dobrodzieja!

To mówiąc, tracił się ze Stemplowiczem i nibyto wypił duszkiem. W rzeczywistości jednak zaledwie usta umaczał, zawartość kieliszka dla niepoznaki dłonią przysłoniwszy. Komornik gołnał do dna, aż mu oko zbieleło.

A pan Szalawa, nalewając szybko nową kolejkę, mówił bez przerwy, rozczulając się coraz bardziej:

— Kredyt zeszedł na psy... Żydzi drą procentami...

Pożyczysz... opiszą cię jak węża! stradują! zniszczą! choć duszę zastaw! płąć... Ładne czasy! niema co mówić!...

Westchnął głęboko.

A po chwili, niby od niechcenia stuknąwszy w kieliszek Stemplowicza, przyczem ze swego wylał połowę wódki, dodał pytająco:

— No! powiedcież, radcuniu! czy nieprawda? Powiedźcie sami.

I z desperackim gestem podniósł kieliszek do ust.

— Zapewne! zapewne! — potwierdził zapytany, pijąc równocześnie, aby Szalawy nie drażnić.

Ten zaś, napełniwszy w mgnieniu oka wypróżnione kieliszki, użalał się w dalszym ciągu, nie przerywając.

— Naprzykład ja... — mówił. — Sami, komornisiu! wiecie najlepiej... żyję skromnie, zbytków nie lubię, a mimo to w kieszeni pustki... Ciężary zjadają wszystko! W tym roku wypadnie do Zabłocia dołożyć... jak radcę szanuję! I z czegoż tu jeszcze długi płacić??

Wypili znów.

Stemplowicza już rozbierało. Zaczął różowiej na sprawy ludzkie patrzeć, więc niby wchodząc w trudne położenie gościnnego gospodarza, jał perswazyą łagodzić na zbyt czarne poglądy Szalawy.

— Istotnie, czasy niewesołe — przedstawiał. — Ale u dziedzica dobrodzieja to jeszcze fraszki! Nie wiem, czy będzie tysiączek łącznie z procentami i kosztami... Zaraz zobaczymy!...

Wziął teczkę, w zamiarze wyszukania odpowiedniego dokumentu.

Przeszkodził mu Szalawa — machnął ręką, westchnął.

— Dajcież pokój, radcuniu! Co z tego, że niewiele... Drogi wół za grosz, jak grosza niema — przemówił i znów przepił, kułakiem kieliszek osłaniając.

W duchu zaś myślał, z pod oka spoglądając na urzędnika.

— Ululam go... chrapnie, a ja tymczasem przestrzegę Krzysia. Leje w czeży żołądek, to się galop zetnie...

I znów brał się za szkło.

— Będzie dość... będzie dość — zasłaniając dłonią kieliszek, dziękował Stemplowicz.

— Kpiny, czy co? Mój radcuniu! — zachęcał Szalawa. — Zaraz podadzą bigos...

— Stanowczo za dużo... stanowczo za dużo...

— Przy bigosie... nigdy za wiele.

— Ale interesa!

— Nie uciekną! Albo nam to pierwszozna, radcuniu! — wołał Szalawa, napełniając kieliszki. Zatoczył się przytem.

— Cięty! — mruknął do siebie komornik i, żeby prędzej skończyć, wychylił duszkiem.

Wniesiono salaterkę bigosu. Szalawa własnorecznie nałożył wzdragającemu się Stemplowiczowi kopciasty talerz. Sam wziął również.

— Czem chata bogata... komornisiu! — rzekł i przepił znów.

Stemplowicz machinalnie wyciągnął rękę po swój kieliszek. Miał już w głowie, ale nie chciał Szalawy obrażać, więc wypił.

I jadł łapczywie, mniemając, że tym sposobem uniknie dalszego ciągu. Rozmarzało go coraz to bardziej, lecz stawiał się jeszcze.

— Niech tam! — myślał. — Skończę bigos i do protokółiku, a potem jazda!

Ale Szalawa nie przestał nacierać. Po kilku łyżkach znów nalal starki.

Co widząc, Stemplowicz zerwał się od stołu.

— Dziedzicu dobrodzieju! jak was szanuję! nie mogę... nie mogę... Obowiązek przede wszystkim! — tłómaczył się, rozpaczliwie rozkładając rękoma.

Co widząc, Szalawa powstał również i, znakomicie udawszy obrażonego, jał wykrzykiwać podniesionym głosem:

— Hm! hm! kole w ząbki skromny poczęstunek... kole! Cóż robić! Nas, szlachtę, nie stać na frykasy... Człowiek z pod serca dobywa, ugaszcza, a zamiast czego... afront! Pogardzają naszą gościnnością, pogardzają...

Rozrzewniał się przytem i kiwał głową smutnie, jak człowiek srogiem zmartwieniem dotknięty.

Więc pan Stemplowicz, który był już stracił równowagę myśli, znów zasiadł za stołem, tłómacząc się i przeprasząc. Zaczął zaś od tego, że pierwszy nalany kieliszek wychylił, mówiąc:

— Kiedy bo... widzi dziedzic... jakże będzie z tem „zajęciem“?

— Z „zajęciem“? Radcuniu! kochasiu! Zajmuj co chcesz... choćby całe Zabłocie! Sam podyktuję... Charty, nie charty... Fajczarnię... garderobę... Sam podyktu-

ję! — wołał udobruchany Szalawa, kordyalnie obejmując urzędnika.

Stemplowicz odplacił uściskiem za uścisk.

— Kpij sobie dziedzic! kpij! — odezwał się po chwili. — Mniejsza o to... Zresztą, prawdę mówiąc... nie tyle mi idzie o Zabłocie... Wpadłem przy „okazyjce“ pro forma, wiedząc z góry, że szanowny dziedzic nic... tego... Mniejsza o Zabłocie! — powtórzył — ale Kościeszówka! Tam niema żartów... Rajzman, panie, zawzięty... gotów mię za niedbalstwo skarżyć do władzy... Rad nie-rad jechać muszę... Późno już!

— Co za późno? Jedenasta... Kościeszówka nie Ukraina!... Wiesz radca, co? Kiedyśmy już rozsądnie mówić zaczęli, radziłbym zrobić tak...

Tu pan Szalawa zrobił bardzo poważną minę, nalał wypróżnione kieliszki i mówił dalej:

— Najpierw u mnie spiszecie dla „formy“ protokółik... Potem... zjemy gospodarski obiadek... mam jeszcze butelczynę niezłego węgrzyna... a po obiedzie pojedziemy razem. Z panem Ożgą jestem dobrze, pomogę radcy załatwić całą sprawę bez hałasu... Zawsze to nieprzyjemna rzecz!

— Dyabelnie nieprzyjemna! Ale, dziedzicu dobrodzieju! nie mogę... nie mogę! Mam ręce związane... Żydzi czekają...

— Żydzi? gdzie?

— A w karczmie pod Kościeszówką... Pojechali na przód... Chcą asystować — wymawiał się jeszcze Stemplowicz.

Ale widoczne było, że mięknie i w końcu na propozycję gospodarza przystanie. I w samej rzeczy teraz gotów był zgodzić się na wszystko; raz, że nie widział innego sposobu wywinięcia się z rąk Szalawy, powtórze, że mu się projekt jazdy w towarzystwie „księcia“ uśmiechał.

— Będzie mi śmielej — rozważał w duchu. — Byle się tylko „książę“ nie ściał zupełnie, bo mu już niewiele brakuje...

Jakoż opierał się jeszcze czas jakiś, ale, gdy Szalawa zaczął coraz silniej nastawać, tłómacząc, że Żydzi poczekają, zdecydował się wreszcie, lecz pod warunkiem, że zaraz po obiedzie wyruszą.

Zaczem wypili jeszcze ostatek starki na „zgode“, Szalawa rozkazał przyspieszyć obiad, a tymczasem wydobyl z kantorka butelkę węgierskiego i, nie tracąc czasu, rozlał w kieliszki.

Stemplowiczowi, który dotąd trzymał się jeszcze jakiś, już po pierwszych łykach zakręciło się raptownie w głowie. Szalawa, dolewając, zachęcał natarczywie do picia.

Stemplowicz mienił się na twarzy, ale pił. Nareszcie zaczęły mu się oczy kleić, zaczął się uśmiechać głupkowato, pomrukiwać do siebie, bełkotać: „Nie mogę! nie mogę!“ w końcu podniósł się od stołu z trudnością, chciał iść ku drzwiom, ale już nie mógł i, doszedłszy tylko do pobliskiej kanapki, na której wylegała się Pigwa, padł obok niej bez czucia i momentalnie zasnął.

— Fertig! — szepnął Szalawa, zacierając ręce.

Sploszona Pigwa chwyciła uronioną na podłodze teczkę i chciała już drapać za drzwi. Co dostrzegłszy, Szalawa krzyknął: „Waruj!” odebrał suce dokumenty i schował do kantorka.

Poczem wrócił do śpiącego komornika, ułożył go wygodniej, następnie przysłonił okna starą burką i wyszedł, przymknąwszy drzwi do drugiego pokoju, mówiąc z zadowoleniem do siebie:

— A to mu zadałem pieprzu! Śpi jak kamień... Zasłoniłem ci okna, radcuniu, żeby cię światło nie razilo... Śpijże! śpij! Ja tymczasem do Kościeszówki... Choćby się nawet ocknął, bez dokumentów nie pojedzie... Niech szuka... niech szuka! — powtarzał — nie głupim mu przecie oddawać. Paradnie się udało! paradnie!

Poczem, przykazawszy służbie, aby się cicho sprawowała, począł się szybko zbierać do wyjazdu.

Przed wyjazdem zajrzał jeszcze do śpiącego Stemplowicza. Ten spał smacznie, wyciągnięty jak długi, chrapiąc przeraźliwie.

— Nie obudzi się przed ranem — pomyślał Szalawa i już zupełnie uspokojony siadł na wózek i wyjechał.

W drodze przyszło mu do głowy, że Stemplowicz skarżyć go może. Zafrasował się tem nieco, lecz nie na długo.

Po chwilowem zastanowieniu przyszedł do przekonania, że żadna odpowiedzialność czekać go nie może.

— Choćby i zaskarżył — rozważał. — To co? Ja częstowałem... on pił... Albo to nie wolno! A że teczka zginęła... Mógł gdzieś po drodze zgubić... Zresztą... od-

dam mu... oddam... ale nie prędzej, jak wtedy, gdy Ożga będzie przy pieniądzach. Powiem, że się znalazła...

Miał również w głowie, więc zaśmiał się wesoło i, przynaglaając stangreta do szybszej jazdy, rad z siebie, że Ożdze przyjacielską wyświadczył przysługę, w złym humorze dążył do Kościeszówki.

Przejeżdżając mimo karczmy, przy trakcie między Zabłociem a dziedzictwem Ożgi położonej, dostrzegł pan Szalawa żydowską furmankę. Obok bryki stała kupka Żydów. I oni dojrzeli Szalawę i zaczęli rękoma wymachiwać i coś szwargotać. Jeden z Żydków wybiegł nawet na drogę.

Byli to czekający na komornika z zamiarem asystowania przy zajęciu: Symcha Rajzman, Jojna Cyc i kilku jeszcze innych, znanych Szalawie z widzenia kapitalistów, a między nimi „dobry znajomy“ Nuta Glancpuder.

— Stój! — krzyknął Szalawa.

Stangret zatrzymał konie.

— A dokąd to kupcy? — spytał z głupia frant.

— Tak sobie... za interesem — odrzekł, kłaniając się, Rajzman.

— A! i Nuta tu? Może masz mi co do powiedzenia, kochanku! To siadaj... Pojedziemy razem — zapraszał Szalawa.

Skrzywił się Nuta, domyśliwszy się, że Szalawa musiał jakiegoś figla wypłatać, i nawzajem spytał:

— Czy wielmożny pan widział się z panem Stemplowiczem?

— Czym go widział? A jakże... W zeszłym tygodniu graliśmy razem u sędziego w preferansa...

Teraz Nuta był już pewny, że ze Stemplowiczem coś się stać musiało. Zaszwargotał do Rajzmana, a potem jął jeszcze dopytywać:

— A u wielmożnego pana dziś nie był?

— Jako żywo! nie! — zaprzeczył Szalawa. — Tylko list odebrałem, że będzie pojutrze. Ale nie wiem, czy mnie w domu zastanie, bo się właśnie wybieram na polowanie do pana Barszczewskiego — opowiadał zupełnie seryo.

Żydzi spojrzeli po sobie, nie wiedząc, czy wierzyć, czy nie wierzyć słowom „księcia“. Nawet wątpiący dotychczas Nuta przyszedł do przekonania, że komornik chyba nie był w Zabłociu.

— Szajne Geszeft! — mruknął do towarzyszków.

Na obliczu wszystkich odbił się niemiły zawód. Pan Szalawa wydobyl z flegmą cygaro i zapalił.

— No, bywajcie zdrowi! — rzekł w końcu do strapiionych Hebrajczyków, w duchu zaś myślał uradowany:

— A to im zabiłem klina! Nie wiedzą: czekać, czy nie czekać... Zresztą, niech czekają choćby do sądnego dnia.

I huknąwszy na furmana: „Ruszaj!“ zaśmiał się na cały głos.

Niebawem trzechkrotny strzał z bata zwiastował uczestnikom rodzinnego święta w Kościeszówce o przybyciu Szalawy.

Przyjazd „księcia“, którego już spodziewać się przestano, ucieszył wszystkich. Ożga wyściskał go, wycelowował z dubeltówki, Krzysio witała serdecznie, radca również, nawet przejęta uroczystością dnia pani Tekla

dość życzliwie. On, odwzajemniając się, obcałowywał wszystkich z kolei, jak przypadło, komplementując przytem z taką swadą, że pani Jangrotowa skarcić go musiała, widząc, że obie młode mężatki — bo i Julce Bortnickiej coś o rychłym powrocie bocianów przepowiadał — rady sobie dać nie mogą.

Chciał też Szalawa iść zaraz podziwiać „nowe cudo“, ale go Julka, zagrodiwszy sobą wejście do sypialni chrześniaczki, za karę nie puściła, mówiąc:

— Trzeba się było nie spóźniać! Teraz musisz pan czekać, aż się królewna obudzi.

A na to Szalawa, pogłodziwszy czuprynę z fanfaronadą, odrzekł:

— Mamy czas! Poczekamy... Poczekamy, aż... urośnie!

Ktoś posłyszał tę przechwałkę. Zaczęto się śmiać, że się już konkurent do Dziuchny zjawił, co znów dało Bortnickiemu powód do złośliwej uwagi: „że zapóźno po śmierci wędrować“.

I tak z przybyciem Szalawy zrobiło się jeszcze weselej, po „księciu“ zaś nie było znać zupełnie, iż niewesołą przywoził nowinę. Był w złotym humorze — raz, że mu jeszcze starka nie wywietrzała zupełnie z głowy, powtórę, że, jak sądził, wyświadczył Krzysiovi rzetelną przysługę. Sypał też conceptami, jak z rękawa, wyczekując stosownej chwili, aby Oźdze na osobności o zażegnanem niebezpieczeństwie opowiedzieć.

Ale nie było to tak łatwo. Towarzystwo, nagadawszy się już z sobą do syta, wzięło teraz „księcia“ w obroty. Jeden puszczał, drugi zaczynał.

A że właśnie pan Barszczewski rozpoczął opowiadać przed chwilą księdzu kanonikowi o jednym z tysiącznych figlów, płatanych przez Szalawę wierzytelom, więc korzystając z obecności „księcia“, zaczął go przyzywać, mówiąc:

— Chodźno sąsiad! opowiedz „tu i tam“, jak to było?!

Szalawie, któremu ciągle najświeższy epizod z kormnikiem tkwił w głowie, wydało się, że pan Barszczewski musi już wiedzieć o wszystkim.

Więc oczy wybałuszyl i, zakławszy w duchu: „Już dyabli kogoś przede mną przynieśli!...“ — stał w miejscu, nie ruszając się.

Chodziło mu istotnie bardzo o to, aby Krzysiovi dnia radosnego, w dodatku przy tylu osobach, nie zepsuć.

Ale pan Barszczewski, który wahanie się Szalawy wziął za proste roztargnienie, nie dał mu czasu do namysłu.

— Chodźno „książę“! wypowiadaj się, jak to było?! — powtarzał.

— Co? gdzie? z czym? — pytał urywkowo Szalawa.

— No, z tą pszenicą, co się to o nią aż Żydzi pobili — zaśmiał się kanonik.

Szalawa odetchnął.

— Tędy was wiedli — pomyślał i już spokojny, że jego przypuszczenia okazały się płonnymi, zasiadł zaraz przy nich i, nie dając się więcej prosić, opowiadał:

— Nic szczególnego... nic szczególnego. Każdemu się to trafić może. W zeszłym roku miałem dyabelny nie-

urodzaj na Zabłociu. Zboże nie sypało, a tu... wiadomo księdzu kanonikowi... ciężary! Trudno się było wyrachować. Koniec końców, zatrzymałem na wiosnę do lepszej ceny zapole pszenicy... Myślę... w najgorszym razie będzie plus-minus trzysta korcy! Ceny się podnosiły, więc nie chciałem sprzedawać na raz, tylko tak partijkami, po sto korcy. Ale gdzie tam! jak się szelmy Żydy zwiedziały, spokoju nie miałem! Kupił Lederman sto, dalejże Boruch Wysypka z pretensjami do mnie... Machnałem i temu drugie sto... Musiała się bestya pochwalić przed Nutą, bo ten przyjechał zaraz do mnie i nuż się napierać... Myślę sobie: „ryzyk-fizyk“, co będę taką garstkę trzymał... myszy wyjedzą... Sprzedałem.

— I racya. Przypominam sobie, że później coś pszenica raptem przytaniała — wtrącił Barszczewski.

— A tak... Miałem nosa! Otóż sprzedałem i tak się jakoś złożyło, że wszystkim trzem machabeuszom nazaczyłem termin odbioru na jeden dzień. Młóczę... Czy się bestya karbowy przerachował, czy co?! Nie wiem... Dość, że z całego zapola wygniotłem zaledwie sto korcy...

— Dyabła dyferencya! — zauważył Barszczewski.

— Cóż dalej? cóż dalej? — pytał zaciekawiony kanonik.

— Ano nic. Punktualnie, jak zegarek, zjechali się wszyscy trzej na termin. Cóż było robić? Przecie człowiek nie Pinetti, żeby z jednego trzy robił! Więc rznę im prawdę bez ogródki, tak a tak... A oni we wrzask! Każdy woła: „ja pierwszy kupilem! to moje!“ Istna bóżnica! Zaczęli się kłócić, hałasować, chandryczyć... Nawet brali się do czubów... Z początku bawiło mnie to,

ale w końcu myślę sobie: jeszcze się jarmułkarze poranią i gotowy kłopot... Więc mówię: „Cicho, szachraje! Przystaniecie na mój sąd? to was pogodzę...” Oni: „Zgoda!” Jakoż ich po Salomonowemu rozsądziłem...

— Wyobrażam sobie! — napomknął ze śmiechem kanonik. — Słucham! słucham!

Szaława zaczerpnął całą piersią powietrza i z najpoważniejszą w świecie miną mówił dalej:

— Jak tylko powiedzieli: „zgoda“, a było to o jakie dwieście kroków od śpichrza, rzeknę: „Ponieważ wszyscy kupowaliście nieomal równocześnie, z jednym terminem odbioru, przeto trudno wyrokować o pierwszeństwie. Trzeba jednak, aby któryś był pierwszym... Stańcie-no rzędem...” Ustawili się. A ja wtedy, ukazując na śpichrz: „Kto najpierw do śpichrza doleci, tego zboże!” Zawahali się w pierwszej chwili, zaczęli oponować... Jak nie wsiądę na nich z góry: „A cóż to sobie myślicie! kpiny ze mnie stroić! Zdaliście się na mój sąd, to słuchajcie...” Więc Boruch, jako najmłodszy i najszczuplejszy, powiada pierwszy: „Niech i tak będzie!” po nim Nuta także... Najdłużej ociągał się Lederman, bo to Żyd zapasiony, ale dałem mu forów dwa kroki... przystał. Podgięli chałatów... ja komenderuję...

Tu pan Szalawa, już sam nie mogąc wytrzymać, parsknął śmiechem. Kanonik z Barszczewskim aż się za boki brali, a że właśnie zbliżyło się kilka osób, zwabionych rozgłosną wesołością, więc pan Barszczewski streścił pokrótce opowiadania Szalawy, co jeszcze żywą wesołość i zaniepokojenie wywołało.

Zaczęto przeto prosić, nagłać:

— Mów, „książę“! mów! a to paradne!

„Księżciu“ było w to graj! Lubił, kiedy jego konceptów słuchano, więc teraz jeszcze z większym zacięciem, gestykulując, opowiadał:

— Ruszyli — zaczął, przebijając nogami. — Po wiadom państwu! myślałem, że pękne! tak zmiotali jeden przed drugim. Im bliżej śpichrza, tem szybciej! Ale w końcu zaczęli się wzajemnie chwytać rękoma, przytrzymywać i ostatecznie przyszli... głowa w głowę!

— Cha! cha! cha! — rozśmiali się słuchacze, a Szalawa z nimi.

— Jakże sąsiad w rezultacie poradziłeś sobie? — zapytał pan Jangrot.

— Musieli powtórzyć, bo przecie po sprawiedliwości nie mogłem żadnego krzywdzić. Dałem im parę minut oddechu i znów ustawiłem pod rząd. Znów ruszyli... Ale tym razem Nuta wysforował się jakoś naprzód i darł, aż się bił piętami! Co widząc, Lederman z Boruchem łap go za skrzydła chałata... Trzymają... On się wyrwa... ci zabiegają drogę... nie puszczają... A ja duszę się od śmiechu. Wyległa służba na to widowisko i dalej zachęcać: „A nie daj się! a huź go!” Szamocą się... Wtem... Nuta jak się nie odwinie, jak nie da Ledermanowi w ucho! potem drugi raz Boruchowi na odlew! I wypnął się... Ale go mimo to dopadli i nuż nawzajem okładać... Zrobiła się bijatyka nie na żarty, tak się Żydy zaciekle, zacie-trzewiły... I znów spaliło na panewce.

— W takim razie nikt nie wygrał? — zagadnął Bortnicki.

— Rozumie się, nikt. Chciałem ich potem podzielić, bo już o trzeciej gonitwie nie było mowy, lecz gdzie tam! Tak się zażarli jeden na drugiego, że ani rusz! Więc...

— Ostatecznie pszenicę musiał któryś z nich zabrać — przerwał Barszczewski.

— Właśnie, że nie. Przecież musiałem być bezstronnym. Pereat mundus, fiat justitia! Pszenicę...

Tu Szalawa zatrzymał się chwilę, dla wywarcia większego wrażenia, a potem dopowiedział szybko:

— Pszenicę sprzedałem młynarzowi do Kobieli!

Głośny wybuch śmiechu zawtórował tym słowom.

— Vivat judex! bodaj-to humor! — odezwał się po chwili ksiądz kanonik.

— Kilka lat „takiego nieurodzału“, a wszyscy kupcy sąsiada dychawicy dostaną — zażartował Jangrot.

— Kosztowna zabawka! — zauważył poważnie Barszczewski. — Śmiech śmiechem, ale za takie sztuczki później dubeltowo płacić trzeba.

— „Księciu“ to tam ujdzie. Odbierze sukcesję, to zapłaci — wtrącił półzartem Bortnicki.

— Pewno, że odbiorę... pewno, że zapłacę — potwierdził stanowczo Szalawa.

— Kiedy to tam będzie! — napomknął mimochodem kanonik z umyślnie zaznaczonem powątpiewaniem, aby Szalawę wyciągnąć na słówko.

Ten zaś nastroił się zaraz poważnie i, niby urażony niedowiarstwem, odrzekł:

— Kiedy? Juściż niczyjej godziny śmierci nie wiem, a wuja-lorda za bardzo kocham, żeby mu, panie, życzyć... Niech sobie żyje zdrów sto lat! Zawsze jednak...

— Kiedy to podobno dalekie kuzynostwo! — przerwał Szalawie Bortnicki.

I zatknął usta dłonią, aby się na cały głos nie roześmiać.

Pan Szalawa, który w końcu w wymyśloną przez się historję jakiegoś angielskiego spadkodawcy sam uwierzył, a przynajmniej chciał, żeby inni wierzyli, spojrział na Bortnickiego z ukosa.

— Moja babka i jego matka były cioteczno-cioteczne... Ale bliższych krewnych niema — objaśnił.

— A dawno „książę“ widziałeś kuzyna? Stary to człowiek? — dopytywał się w dalszym ciągu Bortnicki.

Więc pan Szalawa, wpadłszy na ulubiony temat, zaczął się rozwodzić szeroko:

— W podeszłym wieku, ale krzepki. A myśliwy zawołany! Dwa lata temu byłem u niego. Polowaliśmy, panie, w jego majątku pod Londynem. Śliczny majątek! gleba doskonała, w kulturze, łąki, panie... trawa w pas! lasu kawał... a polowanie... narody, klękajcie! Wziąłem wujowi w prezencie sforeę gończych... Dwa psy i sukę pojedynczą „Śpiewkę...“ Ogromnie się ucieszył... i zaraz na drugi dzień z flintami na lisa...

— Kiedy, zdaje mi się — przerwał mu w tem miejscu Jangrot — że „Śpiewkę“ nie tak dawno widziałem w Zabłociu...

Śluchający przygryźli wargi, aby nie parsknąć.

„Książę“ uwagą Jangrota zdetonował się nieco, ale w mig zawrócił na miejscu.

— Ta sama! „Śpiewka“, ta sama! rzeczywiście — odrzekł Jangrotowi. — Bo też to cała historia! Wy-

braćcie sobie państwo. Idziemy z wujem na polowanie — opowiadał. — Pomyka lis... psy wzięły na oko... Ciam! ciam! ciam! au! au! au!... Grają... Czekamy na stanowiskach... czekamy... a moje ogarki grają i grają... „Już go one nie popuszczają...” mówię do wuja. Czekamy... Lis wyga zaczął widać okrawkami obkładać, bo pieski czasem urywały, to ciamyły znów. W końcu ucichło wszystko. Czekamy... Nic. Myślę sobie: sforsowały go same, czy co? Czekamy... godzinę... drugą... trzecią... *Zaczęło mroczyć*, bo tam, panie, mgliśka straszne, więc i dzień krótszy, a psów jak niema, tak niema!... Co, u diabła? Otrąbiliśmy knieje... Piesków niema! Perdu, Fruziu! myślę sobie... i w głowę zachodzę, co się stało?! Wuj zmartwił się bardzo... Wracamy do domu. Wuj w te pędy wysłał dojeżdźaczy i strzelców szukać. Kamień w wodę! Najeździli się za tropami... na próżno!... Jeden opowiadał, że nad brzegiem morskim były ślady... Strasznie mi było żal sfory. Posiedziałem jeszcze u wuja dni parę. Wracam do Zabłocia i... wyobraźcie sobie państwo moje zdziwienie... wszystkie trzy: „Śpiewka“, „Zagraj“ i „Do-skocz“ leżą na ganku! Aż wyły z radości, gdy mnie ujrzały!... Poczciwe psiska! Cóż się okazało?

— Poszły wpław przez morze? — zakpił Bortnicki.

— Właśnie, że nie. Wuj mi to wszystko później opisał, sprawdzwszy. Sforsowały lisa na wybrzeżu. Stał akurat okręt na kotwicy. Psiska głodne zwęszyły kuchnię... Dalej na pokład! i tak dopłynęły do Gdańska... a stamtąd marsz do Zabłocia! Poczciwe psiska! Już się z nimi za żadne skarby nie rozstanę! — dokończył z rozcucieniem.

Tak się rozgadał, że nawet nie zauważył, iż i panie nadeszły do kompanii i chichoczą do rozpuku. Dopiero kiedy Julka wybuchnęła na cały głos, spostrzegł, że ma tak licznych słuchaczy. Więc zaraz zaczął sypać konceptami, zwróconymi do płci pięknej.

Ale pan Barszczewski przerwał mu zaraz. Biorąc asumpt z anegdoty księcia, rzekł tonem chłodnej uwagi:

— Wszystko to pięknie. Ale, mój sąsiedzie kochany, zanim sukcesya dopisze, trzeba się Żydom opędzać, a to dyabelnie ciężko i niemilo.

— Wiemy coś o tem — pomyślał Szalawa, a głośno odrzekł:

— Ba! ciągle się człowiek ujadać musi. Nie dalej jak dzisiaj rano...

Ugryzł się w język, zmiarkowawszy, że byłby się wynurzył niepotrzebnie, i zaczął zagadywać o czem innem. Udało mu się szczęśliwie, bo właśnie wnoszono do salonu rozbudzoną ze snu „infantkę“. Rzucił się też natychmiast ku malutkiej Szalawa i nuż przyglądać się, podziwiać a wykrzykiwać:

— Wykapana mamusia! wykapana mamusia!

A potem, wpatrzywszy się lepiej, dodał z przekonaniem:

— Chociaż oczy ojca!

I spojrzął na stojącego w pobliżu Ożgę.

W tej chwili przypomniał sobie, że jeszcze Krzysowi nic a nic o „pasztecie“ nie wspominał. Jakoż podszedł ku niemu i szepnął półgłosem:

— Chciałbym z tobą, Krzychu, na osobności pomówić. Rzecz ważna.

W pierwszej chwili wziął Oźga tajemnicze ostrzeżenie za nowy żart „księcia“, więc popatrzywszy nań z niedowierzaniem, odparł z dobrą miną:

— Strachy na Lachy! Znamy się na tem...

Szaława uraził się.

— O! o! o! — zaczął, a następnie powtórzył dobitnie: — Jak cię kocham, nie kpię! Miałbyś mel-szpajs... gdyby nie ja... Wyjdźmy gdzie, to ci wszystko z detalami opowiem.

Odeszli cokolwiek na bok.

— Cóż takiego? — spytał teraz zaniepokojony Oźga.

— Ostatecznie... głupstwo! od tego człowiek nie umiera! — uspokajał Szaława. — Krótko mówiąc, był u mnie dziś rano Stemplowicz. Dlatego spóźniłem się — do końca.

Krzyś domyślił się już reszty, przybliżył i chciał pytać o szczegóły, lecz mu przeszkodził Szaława:

— Nie tu... nie tu! — rzekł. — Chodźmy do stajen, to ci opowiem. A nie rób tak wystraszonej miny, bo się w rezultacie nic złego jeszcze nie stało.

Ostatnie słowa uspokoiły Oźgę. Idąc za radą Szaławy, przymusił się do uśmiechu, poczem zaczął mówić głośno tak, aby go wszyscy słyszeli:

— Dobrze, żeś „księżę“ przyjechał. Chciałem ci między innymi sprezentować żrebaka od „Białki...“ Powiadają sąsiadowi, coś nadzwyczajnego! Związany jak rzadko! pęcina krótka... a krzyż! położyć się można...

Szaława dorozumiał się z łatwością, do czego właściwie Oźga zmierza. Mrugnął znacząco i, niby bardzo zaciekawiony, począł:

— Doprawdy! A tom bardzo ciekaw! Jeżeli to sąsiadowi nie robi różnicy... możebyśmy poszli obejrzyć?...

Wyszli.

Zaraz za progiem chwycił niespokojny Oźga „księcia“ za rękę:

— Mówże sąsiad, jak to było? — zagadnął niespokojnie.

Pan Szaława opowiadał z detalami... przyczem, odzyskawszy dobry humor, żartował jak zwykle.

— Powiadam ci — mówił z ożywieniem — ani ręką, ani nogą. Ale i ja o mało się nie zdołem, chociaż przy wódce o m y wałem co drugi kieliszek... Ale przy węgierskiem... powiadam ci! od razu mortuus! Ułożyłem go wygodnie... papiery do biurka... i jazda do ciebie!

Oźga słuchał zamyślony, smutny, nie przerywając.

A Szaława rozpowiadał dalej:

— Co się tyczy tych łajdaków, spotkałem ich pod twoją karczmą... Był także i mój Nuta. Czekali, ale im tak zbrzydziłem, że niechybnie zawrócili do miasta...

— Ale Stemplowicz... ale Stemplowicz! — odezwał się wreszcie Oźga — gotów jeszcze, przetrzeźwiawszy, nadjechać i będzie jeszcze gorzej...

Szaława załamał rękę.

— Masz tobie! Za twoje myto!... — rzekł tonem skargi.

A po chwili dodał z wyrzutem:

— Mój Krzychu! Już ja chyba znam się na tem. Powiadają: śpi jak suseł i nie obudzi się przed wieczorem, a choćby się, dajmy na to, ocknął, to z czemże przyjedzie? Z pięścią?

Ozga uśmiechnął się mimowoli.

— Żeś go księżę objechał, jak kota w kotlinie, to fakt! — przemówił. — Jednakowo może być z tego kłopot...

— Za co???... O! O! Niech cię już o to głowa nie boli! Ja już Stemplowicza biorę na siebie... Ty tylko staraj się załatwić Rajzmana, zanim dublikaty będą, bo wtedy za nic nie ręczę!

Tak rozmawiając, doszli do stajen, gdzie Krzysz rzeczywiście pokazał Szaławie wyjątkowo ładnego żrebaka.

Tymczasem pozostali w saloniku goście toczyli na temat znanych już zresztą opowiadań i facecyi ożywioną rozmowę.

— Jednakże w tem, co „księżę“ plecie, jest niekiedy trochę prawdy. Naprzykład historia z tą pszenicą istotnie miała miejsce — zauważył kanonik.

— Ale za to o wuju-lordzie i o ogarach wymysł czysty! — wtrącił Jangrot.

— Rozumie się samo przez się! — potaknął Barszczewski. — Nawet sam Szaława nie ma pretensyi do tego, żeby mu wierzone. Można mu śmiało w oczy powiedzieć: „koloryzujesz“, nie obrazi się.

— Zwłaszcza, że za każdym razem opowiada inaczej — dodał Bortnicki.

— A propos tego polowania na lisa, mnie na przykład już raz opowiadał — zaśmiał się kanonik. — że psy poszły za tropem... morze było zamrożone... i przez Paryż... Kolonję, dotarły do Zabłocia na trzeci dzień!

Wybuchnięto śmiechem.

— Mimo to, bardzo przyjemny człowiek w towarzystwie — przemówiła za Szaławą pani Jangrotowa.

— I tańczy znakomicie! — dodała Julka Bortnicka, co usłyszawszy, Bortnicki zaczął w miejscu przytupywać, hołubce krzesać, jakby chciał dowodzić, że i on równie dobrze potrafi.

Ale Julka wzruszyła ramionami, puknęła palcem w czoło.

— Nie przerywaj! — burknęła, ukazując oczyma w stronę Frania Chojnackiego, który, zbliżając się do radcy Prońskiego, mówił:

— Ilekroć spotykam pana Szaławę, zawsze mi na myśl przychodzi, że my, z dziada pradziada na roli osiadli, jesteśmy jakąś ustaloną od wieków rasą, którą ten zagon od wyrodzenia się, od zatury cech pierwotnych chyba strzeże. Zmieniają się czasy... formy... okoliczności... my zostajemy w gruncie rzeczy ciż sami. Jakaś siła spójna zatrzymuje z pokolenia na pokolenie zarówno zalety, jak wady, przenosi je z ojców na dzieci... I dalibóg!... gdyby to było możebne... przenieść tak którego z nas wiekiem w tył, czy naprzód... wszystko jedno! nie raziłby otoczenia. Taki naprzykład pan Szaława... Dziś ma satysfakcyę ucierania się z Żydami, z każdym wierzycielem koziołkuje, nie z wrodzonej nierzetelności bynajmniej! lecz tak sobie... z fantazyi, przed laty miałby pewnie do czynienia z „kapturami“, a i za lat pięćdziesiąt, gdyby żył wówczas, płatałby nowe jakie figle i psikusował, bo to już w naturze... Dziedziczymy... różnie bywa, dobre i złe, ale dziedziczymy...

— Pewnie! pewnie! — potaknął żywo Proński.—

Choć „książę” to musiał chyba kilka naraz sched odziedziczyć.

I roześmiał się szczerze.

— A w panu co po przodkach zostało? — spytała teraz słuchająca z uwagą Chojnackiego Krzysztofowa.

— We mnie? — powtórzył, jakby sam sobie, i zaanowił się.

A po chwili odrzekł:

— Nie wiem. Łatwiej dostrzedz u drugich, niż u siebie. Nie wiem, proszę pani.

— Więc ja panu powiem — przemówiła, patrząc mu w twarz prosto, do bre mi oczyma — ja panu powiem... Została... wielka prawość... i znaczne serce... bardzo znaczne.

Jemu w piersiach wezbrało. Chciał odpowiedzieć, przeczyć — nie mógł. Zwrócił się tylko ku niej całem obliczem, z którego były teraz błogość i szczęście, i skłonił w milczeniu.

Pani Krzysztofowa jeszcze raz powtórzyła:

— Tak. Wielka prawość... wielka zacność i wielki szacunek ludzki...

I również zamilkła, bo w tej chwili siedzący przy oknie Jangrot zauważył głośno:

— Wiecie państwo, że „książę” dzisiaj jakoś nie w sztosie? Musiało mu się coś przykrego przytrafić... Uważałem... Opowiadał, ale już nie z takim humorem, jak zwykle...

— Ma widać coś na wątróbce — napomknął Bortnicki. — Nawet się ze mną nie kłócił... To zły znak.

— Et! zdaje wam się! — zaprzeczył radca Proński. — Szaławie tam nigdy nic nie będzie...

— Jednakowo... — upierał się Jangrot.

— A to się go najlepiej spytamy, bo oto wracają — odezwał się na to Barszczewski, ukazując ku oknu. — Patrzcie, jak „książę” rozkłada rękoma... To gadati-vus! usta mu się nie zamykają!

Jakoż w samej rzeczy Szaława z Krzysiem wracali już ze stajen do dworu. Szaława, gestykulując zawzięcie, tłumaczył z ożywieniem, jak Oźga ma sobie obecnie poczynąć.

— Ja na twojem miejscu — prawil — musiałbym jeszcze teścia w rękaw. Ale skoro nie chcesz „staremu” mówić... mniejsza o to. Pewnieś go już przywoicie podskubał. W każdym razie powinienes się szybko o pieniądze postarać, zanim dublikaty wyciągną, bo po kiego dyabła mają cię najeżdzać!

Oźga słuchał, nie mówiąc, strapiiony wielce.

— Niema się znów tak dalece czem trapić — wykladał w dalszym ciągu Szaława. — Masz czas. Zejdzie jaki tydzień, albo więcej... Możebyś tymczasem wziął od Barszczewskiego?

Oźga potrzęsł głową.

— Wiem! wiem! i u niego się nie przelewa, ale zawsze... — proponował „książę”.

— To daremnie. Wuj Barszczewski gotówki nie ma. Gdyby miał... pewnie, żeby nie odmówił — odezwał się Oźga. — Zresztą nawet dokładnie nie wiem, ile tam tego. Nie wiesz sąsiad? Stemplowicz nie mówił? — spytał.

— Stricte nie pamiętam. Zdaje mi się, że coś o trzydziestu tysiącach wspominał.

— Jakto? — wybuchnął Oźga. — Samemu Rajzmanowi?

— Tak coś opowiadał.

— Nie może być! Przecież dopiero w zeszłym roku w lecie robiłem obrachunek... Było wszystkiego dziesięć tysięcy! — mówił zaniepokojony Krzyś. — Nie może być!

Pan Szalawa wzruszył ramionami.

— W rezultacie, mniej czy więcej, wszystko jedno, skoro nie masz. Jeśli ci na tem zależy, mogę się wywiedzieć i dam znać umyślnym. Bo widzisz, Krzychu! przyszło mi do głowy, że najlepiej będzie, jak ja zaraz wrócę do Zabłocia. Stemplowicza jakoś ugłaskam, uspokoję i wywiem się o wszystkim. Tylko, jeżeli chcesz, żeby inni nie nie wiedzieli — radził — to nie dajże po sobie poznać. Co u licha! Wielka rzecz! Zaraz się tam gryźć!... Dostaniesz pieniędzy... zapłacisz...

— Las sprzedam — bąknął Oźga.

— Najlepiej. Tylko się orznać nie daj. A masz już amatora?

— Pojadę do Warszawy. Z tymi szachrajami nie doszedłbym końca.

— Najlepiej — potwierdził znów Szalawa. — A teraz sza! W górę uszy! — dodał, bo właśnie wchodzili do ganku.

Ale Oźga, mimo szczerej chęci, nie mógł ukryć zmartwienia. Zaraz też pierwszy Barszczewski poznał z twarzy siostrzeńca, że go coś niemiłego dotknęło. Jakż odciągnawszy Krzysia na bok, spytał:

— Cóż tam nowego? Gadajno!

— Ej... nic... większego. Głupstwo... „książę“ przy-

wiół wiadomość, że Rajzman zamierza mię procesować — nadrobił miną, nie powiedziawszy całej prawdy.

— A to niedobrze. Trzeba coś radzić. Poco kosztą ponosić...

— Chciałem właśnie o to kochanego wuja prosić. Jutro wpadnę do Lipna, to obszerniej pogadamy. Dziś nie psujmy sobie dnia — dokończył nieco weselej.

Równocześnie Jangrot dopytywał Szalawy:

— Myśmy tu właśnie deliberowali, żeś sąsiad dzisiaj jakoś „nie-tego...“ Spóźniłeś się „książę...“ z Krzychem jakieś konszachty... a i mina coś rzadka.

— Każdy ma swego mola, co go gryzie — odrzekł wymijająco Szalawa.

— „Książę się tam bardzo gryźć nie pozwoli — wtrącił żartem Bortnicki.

— Musi to być okazały mol — zaśmiała się Julka.

— Zapewne! zapewne! — potaknęli inni.

Więc pan Szalawa, dla prędszego przerwania dyskursu, zaczął się nibyto zwierzać.

— Bo to, widzicie... państwo! mówiąc prawdę... mam gościa... do którego mi pilno — cedził zwolna. — Biedaczysko chore... leży... Muszę nawet zaraz wracać do domu... bom niespokojny...

I począł się żegnać.

Pani Krzysztofowa wystąpiła z protestem, a radca Proński, w mniemaniu, że to nowy jakiś figiel Szalawy, jął pytać natarczywie:

— Cóż to za gość? cóż to za gość?

— Pocziwy... zacny... kochany... Stempelsio! — wykrztusił nie mogący się już powstrzymać „książę“.

Ogólny wybuch śmiechu wtórował tym słowom.

— Jakto? Stempłowicz? komornik?

— I „książę“ go samego zostawiłeś?

— To pewnie który z „wyścigowców“ domaga się nagrody? — pytano teraz chórem, bezładnie.

Zarzucony pytaniami Szaława śmiał się na równi z innymi.

— On sam! on sam! — wykrzykiwał. — Zgadliście... po nagrodę dla Nuty... Ale się biedaczysko rozchorował przy obrachunku... Główka go rozbolała... A wiecie przecie: „chorego w dom przyjąć...“ Ułożyłem go wygodnie na kanapce... Jak się prześpi, będzie mu lepiej...

— Cha! cha! cha! — śmiano się do rozpuku, domyślając się słusznie, że Szaława musiał spoić wykonawcę prawa. On zaś, rzuciwszy: „Widzicie, że do chorego jechać muszę... obowiązek chrześcijański“, jał się zegnąć ze wszystkimi po raz wtóry i już niezatrzymywany wyjechał.

W parę godzin potem, kiedy się już wszyscy, prócz Prońskich, rozjechali, późnym wieczorem nadesłał Szaława umyślnym karteczkę w domowej roboty kopercie, opieczętowaną starannie.

„Poprawiliśmy ze Stempłowiczem — pisał. — łagodny jak baranek. Rajzman ma wyrok na trzydzieści... z czemś jeszcze. Jeśli sąsiad masz wódkę, to mi przyslij, bo moja wyszła, a będzie mi na dzieńdobry potrzebna“.

Ozga wódkę posłał, karteczkę spalił, ale tej nocy spać nie mógł. Rankiem ocknął się wcześniej, niż zwykle. Śledząca od dawna niepokój męża Jadwinia spytała:

— Krzychu! ty masz jakieś zmartwienie?

Westchnął.

Objęła go oburącz za szyję, serdecznie, czule ponawiając pytanie:

— Mój drogi! mój drogi! co się stało?

Pocałował ją w czoło.

— Mój aniołeczku! Tylko nie wyobrażaj sobie nic strasznego... Jeden z wierzących...

— To trzeba zapłacić! — przerwała żywo. — Zaraz powiem ojczulkowi.

— Nie! nie! nie! Dziuchno! Nie trzeba... Poco ojca niepotrzebnie kłopotać... Nawet przykroby mi było, gdyby się dowiedział... Nie trzeba, Dziuchno! nie trzeba...

— Możeby się, Krzychu! kogoś poradzić? — wtrąciła jeszcze.

— I to zbyteczne, duszko! Dam sobie radę! Tylko ty się nie dręcz... bo, jak cię kocham, nie warto! Wszystko będzie dobrze. A ojcu nie należy mówić, moje złotko! — przedstawiał, całując jej rękę. — Moje złotko! Jakie to pocziwe! — pieścił się teraz. — Myślałaś, że mnie zaraz Żydzi zjedzą? Nie bój się. Sprzeda się lasek... zapłaci... To najlepsza rada! Jeszcze będziemy kapitały zbijać! Zobaczysz...

Śluchała spokojniejsza już, prowadząc ręką po górami czoła męża, ale w duchu mimo to osądziła, że lepiejby było poradzić się kogoś.

I przyszedł jej na myśl Franio Chojnacki.

II.

Siedział pan Barszczewski od dni kilku u siebie w Lipnie, nie ruszając się krokiem z domu, wyglądając powrotu siostrzeńca z Warszawy, bo tak się był z Oźgą umówił.

Nie zapatrując się zbyt różowo na całą sprawę, nie wątpił jednakże, że Krzysiovi uda się znaleźć amatora na las i tym sposobem nie zostanie na łasce i niełasce miejscowych kapitalistów, którzy, jak to ze wszystkiego sądzić łatwo było, już sobie na kościeszowskie wyreby parol zagięli.

Oźga, wyjechawszy na drugi dzień zaraz po chrzcinach, żadnej do tej pory wiadomości o sobie nie dawał, co Barszczewskiego utwierdzało w przekonaniu, że targu dobija.

Ale gdy prawie tydzień od wyjazdu Krzysia mijał, a Oźgi widać nie było, zaczął się pan Barszczewski niepokoić i żałować danego przyrzeczenia, że całą sprawę zatrzyma w tajemnicy. Uznawał teraz po namyśle, że słuszność i sprawiedliwość nakazywała nie robić z te-

go sekretu przedewszystkiem przed Prońskim, który, jako teść, miał wszelkie prawo być wtajemniczonym w interes zięcia.

Obawiał się też Barszczewski, że, bądź co bądź, tajony przez Ożgę stan interesów ukryć się nie da i że prędzej czy później wyjdzie szydło z worka, a wówczas Proński będzie najsluszniej urażony za okazany brak ufności.

Jakoż stało się to szybciej, niż przypuszczał.

Ósmego coś dnia zjechał do Lipna najniespodziewaniej radca Proński.

Już z pierwszych słów, wyrzeczonych po powitaniu, poznał Barszczewski, że radca nie przyjechał ze zwykłą wizytą.

— Ja do kochanego sąsiada — zaczął Proński jeszcze w sieni z niejaką urazą w głosie — na poszukiwanie. Gdzieś się nasz zięć zapodział, a tu się o niego różne osoby dopytują... Gdzieś nam przepadł, jak kamień w wodzie... Byłbym o niczem nie wiedział, ale wczoraj miałem w Prońsku istny najazd... Cała fura Żydów! Coś tam znów obaj z Szalawą zmalowali. Wstąpiłem dziś do Jadwisi, ale ona biedactwo o niczem nie wie, a może tylko nie chce mówić, bo tak coś wymiarkowałem... Więc niewiele myśląc, do sąsiada... Teść, jak teść, zawsze to przyszywany rękaw, ale przed rodzonym wujem nie powinien chyba Krzys mieć tajemnic...

Barszczewski stropił się nieco, bo trudno było słowom radcy nie przyznać racji. Widział z nich również, że Prońskiego ktoś dokładnie o wszystkim objaśnił. Było

to Barszczewskiemu po części na rękę, bo już sam nie potrzebował poruszać przykrego tematu.

Słuchał też tylko, wprowadziwszy gościa do pokoju, w milczeniu, niekiedy jedynie potakując:

— Tak, to tak! młodość... płochość!

Proński zaś, który czuł potrzebę wygadania się, nie żałował sobie i ze słusznym żalem przeciw Krzysowi się wywnętrzał, rozповідаjąc szeroko i długo o wszystkim.

Wiedział zaś, jak się okazało, aż nadto, począwszy od owego waryackiego wyścigu z Kotowiczem, skończywszy na niedosłej wizycie komornika. O rozpowszechnienie tych wiadomości postarali się przedewszystkiem zawiedzeni w swych rachubach wierzycciele Ożgi, a głównie Symcha Rajzman. Symcha po owej niefortunnej wycieczce Stemplowicza wpadł w złość nielada, a szyderstwa i docinki Jojny, który teraz przy każdej sposobności w dosadny sposób wykpiwał spółnika, podjudzały go jeszcze i zmuszały do szukania odwetu. Domagali się tego i inni, idący dotychczas za radą Rajzmana wierzycciele, zwałając na barki tegoż całą odpowiedzialność.

I w samej rzeczy cała odpowiedzialność ciążyła poniekąd na Rajzmanie. On to bowiem powziął myśl wyprawienia komornika do Ożgi w dzień chrzcina, licząc, że tym sposobem dwie pieczenie u jednego upiecze różną. Raz pomści się za owego „durnia“, usłyszanego przed paru tygodniami, powtóre za pomocą „szykany“ zmusi Ożgę do korzystnego dla siebie układu, a być może i sprzedaży lasu na warunkach zadyktowanych. Był tak pewien swego, że, jadąc asystować „czynności“, wziął

z sobą na wszelki wypadek większą sumę pieniędzy. Tymczasem wszystko zawiodło, a zawiodło na dobitkę przez znienawidzonego przez wszystkich Żydów Szalawę!

Więc wielka gorycz przepełniła serce Rajzman. Postanowił mścić się do upadłego, rozpoczął zaś akt zemsty, po radzie z ciotką Foglową i Jojną, od tego, że się wybrał w objazd po okolicy i wszędzie o swej „krzywdzie“ opowiadał.

Pierwsze kroki skierował do Prońska i tu bez ogródek, z wielkimi żałami i zawodzeniem, wszystkie „sprawki“ „pana Krzysia“ wyśpiewał, prosząc „jaśnie wielmożnego pana radcę“ o pomoc przeciw takiej niesłowności. Zaprzysięgał się również, że tylko przymuszony uciekł się na drogę sądową, że chciał zgodnie, ze stratą nawet interes załatwić, ale pan „Krzyś“ kpł sobie tylko z niego, jak i z innych, którym również już cierpliwości brakuje i wobec ciężkiej „krzywdy“ bronić się muszą, choćby nie chcieli.

Wywnętrzania i żale Rajzmanowe spadły na Prońskiego jak grom z jasnego nieba. Wydając córkę za Ożgę, wiedział wprowadzić o zawikłanych przyszłego zięcia interesach, nie przypuszczał jednak, aby położenie było do tego stopnia, jak się teraz dowiadywał, rozpaczliwe. Sądził też pierwotnie, że wiano Jadwini w znacznej części zmaże „kawalerskie grzechy“ Krzysia, i dlatego mimo „reputacji“ utracyusza, jaką się młody dziedzic z Kościeszówki cieszył, nie wahał się oddać mu ukochanego dziecka.

Zawód był dla Prońskiego jeszcze tem boleśniej-

szy, że w głębi duszy sam czuł się również winnym. Znajacemu anteriora Krzysia sama roztropność nakazywała z chwilą, gdy miał prawo po tem, zająć się majątkowymi sprawami lekkoducha. Nie uczynił tego, przeciwnie — niechęć dołał oliwy do ognia, wręczając mu bez żadnych ograniczeń posag i nie żądając nawet zdania sobie sprawy z tego, co z tymi pieniędzmi uczynił. Czuł też teraz Proński, że zbytnia jego delikatność stała się poniekąd bodźcem, podniecającym wrodzoną nieopatrzność Ożgi. Wyrzucał też sobie, że pieniądze posagowych nie zahypotekował, czego zresztą sam Krzys sobie życzył.

— Trzeba było choć Warzyńskich spłacić od razu, zresztą niechby się sam borykał — rozważał po odejździe Żyda, rozżalony na siebie i zięcia.

Potem przyszła refleksja, że żale po niewczasie nie tu nie pomogą, że teraz tem bardziej z założonemi rekoma siedzieć nie wypada, że ostatecznie należy koniecznie, nie poprzestając na pogłoskach — zwłaszcza, że Żydzi mogli mieć jakieś widoki w przesadnem przedstawieniu sytuacji — rozejrzeć się w interesach zięcia jasno i prędko.

Jakoż, ukrywszy przed żoną prawdziwy powód, wybrał się Proński tegoż dnia jeszcze do Kościeszówki, z mocnem postanowieniem dokonania powziętych zamiarów.

Zięcia w domu nie zastał. Od Jadwisi dowiedział się tylko, że Krzyś wyjechał na dni parę do Warszawy za interesami. Chciał pytać o więcej, lecz widząc, że zakłopotana Krzysztofowa zbywa go półsłówkami, dał

pokój i, posiedziawszy kilka godzin, wyruszył do Barszczewskiego do Lipna na dalsze zwiady, zapowiadawszy na odjeździe rychły swój powrót.

W drodze uspokoił się nieco, bo mu również przyszło do głowy, że sprzedaż lasu może Ożgę zupełnie jeszcze na nogi postawić, niemniej troska i niepokój nie opuściły go zupełnie, głównie zaś skrytość i brak ufności ze strony Krzysia bolały Prońskiego bardzo, bo oto, chodząc dużymi krokami po pokoju lipnowskiego dwórku tak się w dalszym ciągu przed gospodarzem użalał:

— Jadwinia, jak Jadwinia... Dobrze nawet, że woli męzowskiej okazuje posłuszeństwo. Ale po Krzysiu spodziewałem się czego innego. Przecież, bądź co bądź, co dwie głowy, to nie jedna, w dodatku postrzelona!

— Nie chciał rady dobrodzieja martwić... Liczył na własne siły.

— Ba! ba! ba! Tak się to mówi, a w rzeczywistości jajko chce być mądrzejsze od kury. Ta nasza młodzież wszystka taka.

— Tegobym nie powiedział...

— Boś sąsiad optymistą, a i własnych dzieci nie masz, więc cię jeszcze nie sparzyło. Ale postaw się w moim miejscu. Dałem co mogłem, nie zwlekając, nie bawiąc się w jakieś rejentalne zapisy, interczy... pogadałem z nim, jak przyjaciel z przyjacielem, otwarcie, szczerze... bo trzeba sąsiadowi wiedzieć, że tak było... Przyznam się nawet, że mię ujął bardzo otwartością i dobre mi chęciami, bo sam proponował, abym posag Jadwini hypotekował...

— I wielka szkoda, że się stało inaczej.

— Zapewne. Sam to teraz widzę. Bo toć już nie idzie o te kilkadziesiąt tysięcy zmarnowane... ale o całą przyszłość! Kto teraz może zgadnąć, co będzie? Taki zawsze gotów co zmalować...

Barszczewski milczał, czekając, aż się Proński wygada; ten zaś, przysiadłszy przy stole, zaczął bębnić jakiegoś marsza i mówił jakby sam do siebie:

— Jeszcze przed paru tygodniami byłoby można coś poradzić. Miałem trochę grosza... sprzedałem wełnę, ale dałem wszystko Jangrotom... Teraz, dalibóg! choćbym z duszy serca pragnął, nie mogę. Wyczerpało się wszystko... Zresztą — machnął ręką z niechęcią — pan zięć znów gotów nowe wyścigi urządzać...

— Za to mogę ręczyć, żeby się coś podobnego już nie powtórzyło — odezwał się teraz w obronie siostrzeńca Barszczewski. — Ręczę za to! Uniósł się wtedy, przyjął nierozważny zakład... Ale trzeba było widzieć, co się z nim później działo! Tak źle znów nie jest, radco dobrodzieju. Szalapat, lecz serce złote... potrzebuje tylko hamulca, a teraz ma go w żonie, którą kocha szalenie.

— Nie przeczę, nie przeczę — potaknął Proński, rozchmurzając się. — Istotnie, może nawet i choroba Jadwini przyczyniła się cokolwiek do tego, że zaniedbał interesa. Ale że charakter lekki, to lekki. Pocóż pojechał do Warszawy?

— Kupców na las szukać.

— Domyśliłem się. Mojem zdaniem, to w jego po-

łożeniu najlepszy środek ratunku. Ja mu pomóż na razie nie mogę, bo na kapitałach nie siedzę, sąsiad także. Tak razby się wszystko skończyło. Tylko wątpię, czy on tam co robi. Takie rzeczy najlepiej załatwiać na gruncie.

— Zapewne — potwierdził Barszczewski. — I ja wątpię, czy w Warszawie znajdzie amatora, zwłaszcza, że czasu niewiele, bo wierzyciele naciskają.

— A naciskają i nie zawsze uda się mu tak wykpić, jak to miało miejsce ostatni raz z Szalawą... Dług długiem! *redde quod debes*, szlachecka rzecz. Kiedyż wróci?

— Lada chwila. Już od kilku dni się go spodziewam. Proński się zamyślił.

— Jakbyś sąsiad uważał? — spytał po chwili — gdybyśmy tak, nie czekając na Krzycha, wpadli do miasta i z wierzycielami rozpoczęli układy?

Barszczewski skinął głową potakująco.

— Że na tem nie straci, pewna. Żydzi go znają i będą chcieli obedrzeć. Z nami będzie im trudniej.

— Nic nie mam przeciwko temu.

— W takim razie prosiłbym kochanego sąsiada o przybycie jutro do Kościeszówki. Ja zaraz wracam, bo tam i Jadwinia niespokojna.

Ale pan Barszczewski zaoponował.

— Wszystko dobrze, radco dobrodzieju! — rzekł — ale dzisiaj od siebie nie puszczę. Przenocujecie pod moim dachem, obgadamy interesa dokładnie, a jutro, da Bóg doczekać, ruszymy razem ratować tego pędziwiatra

z niewoli babilońskiej. Od tego nie odstąpię. Do pani Krzysztofowej, na upartego, można parę słów napisać. Przytem... kto wie? może Krzys nadjechać... Siedzi już tyle czasu.

Proński nie opierał się i stanęło na tem, że obaj mieli w dniu jutrzejszym wprost z Lipna, nie czekając powrotu Oźgi, jechać do miasta próbować układów z wierzycielami.

Stało się jednak inaczej.

Nad ranem trąbka pocztarska rozbudziła ze snu Barszczewskiego. Odgadłszy, że to nie kto inny, lecz Oźga z powrotem z Warszawy, przyodziął się na przedce i wybiegł do sieni, aby siostrzeńca o obecności teścia uprzedzić.

Był to w samej rzeczy Krzys. Stosownie do umowy, zawadził o Lipno dla zdania sprawy z tego, co zrobił. Nie miał się jednak czem pochwalić. Kupcy na las trafiali się wprawdzie, lecz stawiali takie nieprzystępne warunki, że przystać na nie było niesposób. Wracał też z niczem, a raczej z nadzieją, że z miejscowymi handlarzami, którzy już dawno na kościeszowski las mieli chrapkę, prędzej trafi do ładu. Wydało mu się to łatwiejszem teraz, niż przedtem. W drodze spotkał się z Warzyńskim, który go zawiadomił, że ponieważ ukartowane kupno majątku, o czem w liście pisał, nie przychodzi do skutku, przeto sumę na Kościeszówce na dotychczasowych warunkach może jeszcze zostawić na dłużej. Wiadomość tę przyjął Oźga z radością. Pod tym przynajmniej względem miał ręce rozwiązane i zyskiwał na czasie.

Była to jedyna dobra nowina, przywieziona z drogi.

Pan Barszczewski wysłuchał relacji siostrzeńca, nie przerywając. Wiadomość o prolongacie należności Waryńskich wydała się i Barszczewskiemu również bardzo pomyślną dla spraw majątkowych Krzysia okolicznością; co się zaś sprzedaży lasu tyczyło, aczkolwiek nie wątpił, że ta ostatecznie nastąpi, sądził jednak, że tranzakcyja nie da się załatwić tak gładko, jak Oźga sądził.

Jakoż po chwilowym namyśle zaczął:

— Wszystko to pięknie, mój chłopcze, lecz tymczasem twoi wierzyciele podnieśli larum i szyją ci buty na wszystkie strony. Bębnią po okolicy o długach... Rajzman był w Prońsku...

Oźga brwi zmarszczył.

— Był? — spytał z niezadowoleniem.

— Był i skarżył się przed teściem...

— Szelma!

— Ja mu się tam nie dziwię. Cóż ma robić?... Wygadał, rozumie się, wszystko. Radca, rozżalony na ciebie bardzo, wpadł do Kościeszówki...

Krzyś schwycił się oburącz za głowę.

— Do Kościeszówki... A potem do mnie. Jest tutaj.

Oźga przybladł.

— A Jadwinia? — spytał raptem i westchnął.

— Zdrowa, chwała Bogu! ale pewnie niespokojna o ciebie...

— W Kościeszówce nie byli?

Barszczewski dorozumiał się, o kogo pyta. Potrząsł przecząco głową.

Oźga westchnął głęboko. Potarł dłonią zasepione czoło i spojrzał pytająco na wuja, jakby się dalszego ciągu domagał.

A pan Barszczewski po chwilowej przerwie mówił:

— Ojciec rozżalony i słusznie. Co uszło za kawalerskich czasów, to nie teraz. Masz obowiązki, żonę, dziecko... Należy o tem pamiętać. Staremu przykro... Bo i poco, u dyabła! te sekrety, skoro się wszystko prędzej czy później wydać musiało! Dobrze nawet, że prędzej, niż później...

W oczach Oźgi malował się smutek serdeczny. Barszczewskiemu żal się zrobiło siostrzeńca.

— Ha! nawarzyłeś piwa, wypić musisz! Chodźmy do radcy. Zrzucić pychę z serca, teścia przeprosić, boś zawinił — radził nieco łagodniej. — Może się to jeszcze jakoś załata. Ojciec się pogniewa, ale pomocy swej nie odmówi. Wspominał mi nawet, że chce się zająć sprzedażą lasu... No! chodź, chłopcze! starego za kolana! boś mu zmartwienia napędził... Chodźmy!

Przy tych słowach pierwszy skierował się ku drzwiom.

Proński leżał jeszcze w łóżku, paląc cygaro. Na widok wchodzącego zięcia pogodna zwykle twarz radcy przybrała wyraz surowy.

— Jak się masz? — spytał sucho, od niechcienia.

Krzyś pocałował teścia w rękę.

Chwilę panowało kłopotliwe milczenie. Przerwał je gospodarz, mówiąc:

— Muszę wyjść na chwilę. Zaraz wracam.

I wyszedł, bo uważał, że najlepiej będzie, jak porozmawiają bez świadka.

Po wyjściu Barszczewskiego Proński, jakby na to tylko czekał, objął Ożgę surowem wejrzeniem i zaczął szybko:

— Ładnych się tu rzeczy dowiaduję! Bój się Boga! A toć, jeśli tak dalej pójdzie, za rok całą Kościeszówkę dyabli wezmą! Człowieku, co ty wyprawiasz! Jakież zakłady... wyścigi... a o płaceniu długów ani wspomnisz! Nie spodziewałem się tego! nie spodziewałem! W rezultacie na czym się to skończy?

Ożga słuchał w milczeniu, ze zwieszoną głową, z pierśią pełną żalu, zawstydzony, wzruszony do głębi, z niekłamana pokorą. Wszystko, co usłyszał, było prawdą, każdy zarzut słuszny. Choćby chciał, nie na swe usprawiedliwienie powiedzieć nie mógł, więc tylko tęścia parę razy w rękę pocałował i milczał.

Spodobało się to staremu.

— Przynajmniej czuje, że zawinił — pomyślał, rad skrusze zięcia.

Ale burczał jeszcze czas jakiś, nie szczędząc wymówek. Wreszcie miększym już głosem, choć zawsze z marsem na czole, spytał:

— Cóż? chcesz podobno las sprzedać?

— Chciałbym — odrzekł Ożga.

— Próbowalesz w Warszawie?

— Nie dało się...

— I tu kupią... Mogą nawet lepiej zapłacić, jeśli im się z należności długą potraci.

— Byłoby dobrze...

— Czegożeś tego dawniej nie zrobił, a przynajmniej nie pozwolił, żeby inni za ciebie zrobili?...

Krzyś bąknął coś pod nosem, łyzy zakręciły mu się w oczach, bo w tej chwili w duchu sam sobie podobne zadał pytanie.

Proński już się wysapał zupełnie. Nie lubił i nie umiał gniewać się długo. Skinął na Krzysia.

— Chodź-że bliżej... Siadaj tu... na łóżku.

Krzyś spełnił rozkaz. A że właśnie Barszczewski wracał, więc radca, uniósłszy się na pościeli, zwrócił się do wchodzącego i, ukazując ręką na Krzysia, przemówił:

— Zmyłem mu tu głowę porządnie za te wszystkie głupstwa.

— Słusznie! słusznie! — potaknął Barszczewski, oceniwszy, że burza już przeszła.

— A teraz chciałbym, żebyśmy spokojnie o interesach pomówili. Rad, nierad! musisz i ty, wujaszku, przyłożyć do tego rękę, bo na jedną głowę za ciężko, a na tego szalaputa nie liczyć nie można.

— Z ochotą. Jestem do dyspozycji — odpowiedział Barszczewski.

Podniósł się Krzyś i pocałował wuja w ramię.

— Patrzcie go! jaka to teraz trusia! baranek! — zawołał z odcieniem żartu Proński.

A Barszczewski:

— Cicha woda! Czas jednak, żeby się uspokoiła.

— I wielki! wielki! mój Krzysiu! — potwierdził Proński. — Trzeba na seryo myśleć o przyszłości. Tak...

z dnia na dzień... nie można. Masz zresztą o czem myśleć... Żona... córka... a podobno nie koniec na tem... — uśmiechnął się. — Czas wielki! Jużemy tu z wujem obgadywali twoje sprawy. Ostatecznie trzeba las sprzedać! niema rady! Majątek wprawdzie straci na wartości, ale lepsze to, niż długi. Wiesz lepiej, co wart. Jakże sądzisz? ile mogą dać za włókę? Z dziesięć tysięcy?

— Powinni — odpowiedział Oźga.

— To słuchajże... Zdaj to już na nas. Ja z sąsiadem wymacamy Żydów... Głódziej pójdzie. Ciebie wezwiemy do gotowego, bo, między nami mówiąc, zadarłeś z Rajzmanem, to nie wiem, czybyś zaraz trafił do końca...

— To się wie! to się wie! — potaknął gospodarz.

— A teraz jedź do domu, bo tam Jadwinia coś przeczuwa i gryzie się niepotrzebnie — kończył teść....

Oźga zerwał się żywo.

— Prosiłbym tylko wuja o konie... — rzekł.

— To jedź moimi. Ja zabiorę się z sąsiadem do miasta. Przyślesz po mnie, lub sam przyjedziesz — zaproponował Proński.

— Niech i tak będzie — zauważył Barszczewski, powstając, aby wydać służbie stosowne polecenia.

W parę godzin potem obsypywał Oźga pocałunkami uradowaną przyjazdem męża Jadwinę. Nie chciała go o nic pytać na wstępie, tylko z niejaką trwogą rzekła:

— Był tu ojciec.

— Wiem. Widziałem się w Lipnie — odrzekł wesoło. — I wszystko dobrze! skoroś ty mi zdrowa — dokończył.

Poczem zaczął jej opowiadać wszystko, nie pomijając niczego, nie nie ukrywając. Czuł potrzebę szczerego wywnętrzenia się przed ukochaną towarzyszką życia, potrzebę spowiedzi z uczynków, których się na przyszłość odrzekał, potrzebował zrzucić z piersi ciężar win i prosić o przebaczenie za nie u tej najdroższej, umiłowanej gorąco, bo mu bez tego przebaczenia strasznie ciężko było.

Więc wypowiedziawszy wszystko, przylgnął wargami do rąk żony, pytając:

— Darujesz mi! nie gniewasz się? Wszystko będzie dobrze! Zobaczysz! Dziuchno serdeczna! nie gniewasz się?

— Nie, Krzychu! Tylko bałam się bardzo. Lepiej, żeś mi o wszystkim powiedział, a i ojciec także — odrzekła pośpiesznie. I dobre jej oczy zaszyły łzami.

Z dziecinnego pokoju rozległ się piskliwy głosik.

Powstali obydwójce.

— Chodźmy tam! Trzeba i małą przeprosić — odezwał się Oźga.

Ujął żonę za rękę i poszli.

III.

W zajazdowem podsieniu stała gromadka Żydów. Gwarzyli, obliczali coś, spierali się i godzili na przemian, krzycząc głośno. Jeden drugiego przegadać pragnął, a wszyscy oczekiwali widocznie na wiadomość, bardzo ich obchodzącą. Niekiedy któryś mniej chępliwyy wysuwał się z gromadki, skradał pod okna gościnnego numeru, z którego dolatywał pogwar ożywionych głosów, nasłuchiwał chwilę, powracał na dawne stanowisko, mieszając się na nowo do przerwanej rozmowy.

Deszcz mżył, wiatr chłodny zaciągał, uderzając z poświstem o sklepienie sieni, a oni stali tak, nie zważając na słotę, chuchając w kostniejące palce, przytupując nogami, nie ruszając się z miejsca, niby strażnik postawiony na warcie.

Wreszcie skrzypnęły drzwi numeru. W wyczekującej gromadce zawrzało. Poruszyły się głowy, szyje wyciągnęły naprzód, momentalnie ucichł szwargot, a potem nagle podniósł się zgodny chór drgających ciekawością wykrzykników:

— Mendel kimmt! Sofa kimmt! Still!
Still!

I znów zaległa cisza, tylko gromadka wyczekująca dotąd w głębi podsienia posunęła się teraz, jak jeden mąż, ku podwórzu, otaczając kołem śpieszącego ku niej towarzysza. Kilka par przenikliwych oczu utkwilo równocześnie w twarzy przybyłego, z kilku ust naraz wyrwało się jednobrzmiące pytanie:

— Was ist? Co jest? Co Rajzman? Co purec?

Mendel, łokciami rozpychając natarczywych, postąpił parę kroków, nic nie odpowiadając. Dopiero, gdy się znaleźli w sieni podjazdu, wsparł się o mur, wyciągnął obie ręce przed siebie, potrząsł nimi i rzekł krótko:

— Geben sie Geld! Co kto ma, niech daje!
Geschwind!

Na te słowa w żrenicach współwyznawców zaświeciła radość. Jakby na znak umówiony ręce wszystkich zanurzyły się szybko w kieszeniach chałatów. Dobywano pieniądze bez pytania, w milczeniu. Poczęto liczyć, wyjmując z zatłuszczonych pugilaresów, z owiniętych w stare gazety paczek zwitki banknotów. Układano, przykucnąwszy na kolanach, w kupki, co kto miał. Milczenie przerywały tylko obijające się o mury zajazdu echa szeptanych cyfr, szelest przeliczanych bankocetli i przyśpieszony, sapiący oddech rachujących.

Sofa czekał i milczał również.

Najbliżej będący Pinkus, młody, dopiero co ożeniony Żydek, uwinąwszy się z rachunkiem, pierwszy oddał Mendlowi zwitek asygnat, mówiąc:

— Zwei hundert!

I teraz dopiero spytał:

— A na co?

— Rajzman potrzebuje — brzmiała odpowiedź.

— Czy będzie spółka? — spytał drugi.

— Geschwind! — burknął Mendel. — Spółka, nie spółka! ja nie wiem, co będzie... a Rajzman kazał dać, to dać, nie bałamucić!

— A soj! a soj! — potaknęli inni. — Nie bałamucić!

Kilka naraz rąk wyciągnęło się ku wysłańcowi.

— Wart! wart! — odezwał się znów Mendel.

Brał paczki po kolei, liczył powtórnie, spisując na kartce, ile kto dał, mrużąc półgłosem:

— Pinkus zwei hundert... Manele hundert fünfzig... Weichselfisch drei hundert fünf und zwanzig... Ryfka Luftwasser siebzig...

Otoczenie czekało spokojnie końca tej czynności, ale na twarzach znać było wzrastającą coraz ciekawość.

Wreszcie ostatnia paczka utonęła w kieszeni faktora. Teraz pytania posypały się gradem. Cierpliwi i posłuszni dotychczas kapitaliści, cisnąc się obcesowo, dopominali się szczegółów.

— Sofa! mówcie, co jest! Dlaczego nie chcecie mówić! Co za tajemnica?! Czy się kto chce z wami faktornem dzielić, czy co? — nagabywał zbureczany poprzednio Manele.

— Nie bądźcie uparci. Poco sekret, kiedy wszyscy dajemy nasze pieniądze! I nam się należy wiedzieć! — upominał się Weichselfisch.

— I my ciekawe! fertig, czy nie fertig! — prosiła Ryfka Luftwasser.

— Daliśmy pieniądze bez pytania — pochwalił się młody Pinkus.

Sofie rozwiązały się usta. Pilno mu było wracać, więc zaczął pośpiesznie:

— Nie róbcie gwałtu! POCO pytać? Gdzie Symcha jest, musi być interes... musi być fertig! Było z razu trochę kłopotu. Der alte Proński — opowiadał — chciał dziesięć... Symcha dawał osiem tysięcy...

— Für włókes?

— A soj! kazałem brać półdziewięta... Skończyli... Potem szło im o zadatek. Symcha nie miał tyle pieniędzy... Wysłał mnie do was... I koniec! Teraz...

— Und jetzt?

— Teraz Symcha chce jeszcze dla kontraktu hypoteki.

Słuchacze cmoknęli z podziwu, obrzucając się wzajem wymownym wejrzeniem.

— Oni nie przystają — dokończył Sofa, zabierając się do odwrotu.

Zastąpili mu drogę tłumnie, chcąc pytać jeszcze.

— Hab keine Zeit! — fuknął opryskliwie. — Co chcecie wiedzieć jeszcze? Warten! warten!

I pobiegł szybkim krokiem.

W numerze kończono transakcye. Po długich targach nastąpiła wreszcie zgoda. Symcha Rajzman kupował piętnaście włók lasu (jaki widział) po osiem i pół tysiąca za włókę. Szacunek płacił w trzech ratach. Z ostatniej raty potrącał należne mu od Oźgi kwoty.

Wchodzący Sofa wprawnem okiem faktora ocenił, że interesu ostatecznie dobito.

Istotnie, siedzący przy stole pan Barszczewski kończył właśnie spisywanie przedugodowych punktów umowy, która następnie miała być utwierdzona aktem rejentalnym i wpisana w księgę wieczystą.

Chodziło tylko o to, czy pan Warzyński zrobi ustępstwo z sumy nieletnich, czego się uporczywie Rajzman domagał.

— Jasnie panie! — tłumaczył Prońskiemu — żeby to były tylko moje pieniądze, dałbym na słowo! na jasnie pana słowo! Ale są spółniki... Niech Sofa powie...

— Jest kilku — potwierdził świadek, wręczając przytem Rajzmanowi zwitek banknotów.

— Właśnie od nich pieniądze — przedstawiał w dalszym ciągu wierzyciel Oźgi. — Gałgany! — skrzywił się — oni rodzonemu ojcu nie wierzą...

— A jak pan Warzyński nie pozwoli? Jeśli nie będzie chciał czekać do raty, tylko zażąda, żeby go zaraz spłacić? — zauważył Proński.

Symcha ruszył ramionami.

— Ny? to co ja temu winien? Ale dlaczego nie ma pozwolić? czy długo będzie czekać? Najwyżej pół roku. Tymczasem z zadatku można mu procent z góry zapłacić...

— Mam nadzieję, że nie będzie robił trudności — odezwał się trzymający się na uboczu Oźga.

— Ojej! — potaknął Sofa.

Zaczem pan Barszczewski począł czytać głośno spisane w dwóch egzemplarzach punkta przedugodowe.

Wszyscy słuchali z uwagą. Gdy skończył, nikt nie miał nic do nadmienienia, tylko Sofa wtrącił jeszcze:

— Przepraszam! należy się jeszcze porękawiczne dla jaśnie pani! Taki kupiecki zwyczaj!... Co Symcha daje?... trzeba naprzód powiedzieć — dopytywał, mrugając znacząco na Ożgę, aby ten gorliwość faktora w bronienu zwyczajowych praw „pani dziedziczki“ zauważył.

— Dziesięć głów cukru i kamień kawy — zaofiarował Symcha.

— I dwa kamienie świec — targował Mendel.

— Mendel chciałby człowieka ze skóry odrzeć... Zresztą niech i tak będzie! — zakończył sporną kwestyę Symcha.

A potem zaraz, podszedłszy do Prońskiego, wręczył mu paczkę banknotów, mówiąc:

— Niech jaśnie pan przerachuje. Jest dwadzieścia pięć tysięcy, jak bułka za grosz. Tak jak było mówiono. Tylko jak pan Warzyński nie będzie chciał — powtórzył jeszcze raz zastrzeżenie — to ja tylko do jaśnie pana przyjadę po moje pieniądze.

— Szłom! szłom! — przerwał mu Sofa z udaną urazą. — Poco gadać jedno w kółko! Jaśnie pan rzekł słowo, ein Wort! i szabas!

— Bądź kupiec spokojny — rzekł Proński, chowając zadatek.

— Teraz tylko podpisać — przypomniał faktor.

Za chwilę dokument z trzema podpisami znajdował się w kieszeni Symchy.

.

W tydzień potem w kościeszowskiej kniei rozlegał się stuk siekier, łoskot padającego drzewa, trzask łamanych przy spuszczeniu gałęzi.

Czasem piła traczów, natrafiwszy na rdzeń smolny, wydała chrzęst przeciągły; czasem ginący olbrzym, zatrzymany w upadku na rozłożystych konarach stojącego jeszcze sąsiada, chwiał się czas jakiś w bratnim uścisku, skrzypiąc, nim runął z hukiem, by się nie podnieść więcej; czasem niedorostek leśny pękał z trzaskiem, przygnieciony ciężarem starszego towarzysza. Nad borem płynęły echa zagłady. Spłoszone stada wron, żalosnem krakaniem napelniając powietrze, nuciły requiem strze-listym sosnom i świerkom. Las cięto.

Od granicy Zabłocia, gdzie był drzewostan najzwart-szy, rozpoczęto pierwszy wyrąb.

Pan Szaława poszedł się przypatrzeć.

— Wziął się do stryja — rozmyślał, idąc ku lasowi. — Szczęśliwy człowiek! Tylko polowania szkoda! Koty się do Chojnackiego wyniosą.

IV.

Zboże od lat trzech spadało w cenie, w handlu panował zastój.

.
Pan Pomidorowicz wyszedł przed traktyernię, przystanął na progu, tuż pod szyldem, na którym, oświetlone południowem słońcem, błyszczało jego nazwisko, i spojrzał w rynek.

W rynku stało kilkanaście fur włościańskich. Chłopi siedzieli na workach przywiezionego zboża, rozmawiali, kiwając głowami, wzdychając i klnąc na przemian.

Okolc rozstawionych rzędem straganów kręciła się garstka ludu, przeważnie kobiet z koszykami, opalkami w ręku. Babiny oglądały perkaliki, płócienna, przymierały wzorzyste chustki, czasem któraś zatargowała, ale zaraz, usłyszawszy cenę, brała się za głowę i odchodziła co prędzej, nie nie kupiwszy. Straganiarze wzywali do powrotu, nawoływali, zachwalać towar, niżali cenę... Śmielsi wybiegali z kramów, chwytały targujące się chłop-

ki za odzież, przytrzymywali przez siłę, ciągnąc do straganów dla dokończenia kupna.

Ale handel nie szedł.

Włóścianki wracały — spojrzawszy jednak smutnem okiem w stronę stojących ze zbożem furmanek, odchodziły znów z niczem, obiecując przyjść później. Kramarze zwijali porozrzucany na pokaz towar i równie, jak siedzący na furach chłopci, kleli.

W punktach narożnych, przy skrętach ulic, stały gromadki Żydów, drobnych handlarzy, czekających na interes. Zwyczajnie jak na jarmarku. Z ulic dolatywał pogwar napływającej ludności, kwik pędzonej nierogacizny, głuchy turkot wozów. Niekiedy rozległ się w ciżbie donośny okrzyk furmana: „na bok! z drogi!“ lub strzał z bata.

Żydzi ruszali się wtedy z zajmowanych placówek, otaczali hurmem wjeżdżającą furmankę, czepiając się drabin, półkoszków, wspinając się na wóz nawet.

Chłop zatrzymywał konie, przystawał, rozwiązywał czuprynę worka, pokazując przywiezione na sprzedaż zboże. Żydzi rzucali się obcesowo, oglądali, biorąc po garstce ziarna. Wąchali, czy nie zatechło, gryźli w zębach, próbując, czy suche; potem pytali od niechcenia: „po czemu?“ i, prawie nie czekając odpowiedzi, wracali na dawne stanowiska. Chłop pomstował: „bodajście pomarnieli, przeliwacze! pogańskie syny!“ wiązał worek i zafrasowany ruszał dalej. Czasem przychodziło do starcia. Zawiedziony w nadziejach zagrodnik chwycił za biczysko. Żydzi podnosili krzyk, z obu stron sywał się grad

wymysłań, klątw, złorzeczeń. Ludzie przystawali, tworzyło się zbiegowisko, tumult...

Pan Pomidorowicz stał i patrzył. Ręce włożył w kieszenie, wargi wydał, czoło zmarszczył. Na twarzy restauratora malował się wyraz głębokiej pogardy.

— I to ma być jarmark! Walny jarmark! — pomrukiwał raz po raz, spluwając z obrzydzenia. — Przyjechało trochę chamów... popije się hałastra w szynkach... I na tem koniec! — rozważał, rozgoryczając się coraz bardziej.

Skrzywił się ironicznie.

— Lat cztery... pięć w tył jeszcze — rozpaniewywał zaszepiony — wrzało, panie! Człowiek stajennego od konia brał więcej, niż teraz za nocleg od szlachcica... Na psy wszystko zeszło! na psy! Bo też i terażniejsza szlachta! — użalał się w duchu. — Kazali sobie inne żołądki powprawiać, czy co? Przyjechało ich kilkunastu... Cóż z tego? Siedzą, panie, od rana do wieczora w sali, kopcą cygara, aż w oczy gryzie! i... najwyżej: „wołowa...“ „piwko“, „zrazy...“ „herbatka...“ „flaczki“ i znów „piwko...“

Machnął ręką z lekceważeniem.

Skrzypnięcie drzwi przerwało mu rozmyślanie. Z restauracyi wybiegł posługujący chłopiec.

— Proszę pana!

— Czego?!

— Panowie pro...szą o ra...chu...nek!

— Idę! — rzucił z niechęcią.

I wolnym krokiem podążył za chłopcem, szepcząc pod nosem:

— Proszą... Jacy grzeczni! proszą... Dawniej, panie, jaki taki huknął: „Pomidor! zamrozić kosz w dół! tylko na jednej nodze! rozumiesz...” A teraz... proszą — przedrzeźniał: — „Kochany panie Pomodoro-wicz!... każ mi tam usmażyć befsztyczek...” Proszą... grzeczni! Można z głodu zdechnąć przy tych grzecznościach!

Ruszył ramionami pogardliwie i wszedł do sklepu.

— Dla kogo rachunek? — spytał.

— Dla pana Kotarskiego — brzmiała odpowiedź.

Wziął się do pisania.

Przez uchylone drzwi sklepu dolatywała ożywiona rozmowa i widać było całe wnętrze gościnnej sali.

Przy stolikach, nakrytych odświeżniami kolorowymi serwetami, siedziało kilkunastu obywateli. U drzwi kupka Żydów, kupców zbożowych, zajmowała obserwacyjne stanowisko. Szlachta gawędziła, kupcy milczeli. Mendel Sofa, faktor, biegł od stolika do stolika, podchodził do współwyznawców, szwargotał, nawiązując nici napoczętych a niedokończonych interesów. Nie szczędził wymowy, przedstawień, mimo to szło mu widocznie oporem, bo w końcu i on przystanął pod piecem, z miną człowieka, skazanego na przymusową bezczynność.

Tylko obok stolika, przy którym siedział pan Szalawa ze Słotwińskim i z Kotowiczem, kręcił się mały, chuderlawy Żydek. To podszedł, to odsunął się kilka kroków, nie spuszczaając z oka Szalawy. Wreszcie, upatrzawszy stosowną chwilę, zbliżył się do „księcia” i, mnąc trzymaną w ręku czapkę, zaczął:

— Wielmożny panie! niech wielmożny pan nie żartuje! ja jestem dużo stratny...

Szalawa gawędził obojętnie, ani okiem nie mrugnawszy.

Żydek powtórzył naleganie raz, drugi, trzeci, coraz to natarczywiej.

Pan Szalawa milczał. W końcu zniecierpliwiony porwał się z krzesła, nasrożył.

— Słuchaj, Pinkus! nie nudź mię! O co ci właściwie idzie? — spytał ostro.

Żydek cofnął się kilka kroków.

— Wielmożny panie! — zaczął znów.

— Kupiłeś? — przerwał mu groźnie Szalawa.

— Kupilem...

— Odebrałeś?...

— Ode...bra...łem... ale co z tego, kiedy po terminie. Miało być w grudniu, wielmożny pan oddał w końcu stycznia — żalił się Pinkus.

— Aleś odebrał?

— Co z tego? Tymczasem nałożyli cło... żyto za granicą nie idzie... Wielmożny pan wie najlepiej — tłómaczył Żydek. — Ja jestem stratny! ja będę...

— Co?

— Ja będę skarżył — zagroził Pinkus, odsuwając się coraz dalej.

— To skarż, durniu, Bismarka, nie mnie! — huknął za nim Szalawa, aż się po sali rozległo, i uważając dysputę za skończoną, wrócił do stolika.

Podniesiony głos Szalawy przywabił Pomidorowicza. Skończył właśnie pisanie rachunku, więc usłyszawszy wrzawę, wbiegł szybko do sali. Wprawne okiem zbadał sytuację, a ujrawszy wałęsającego się na środku sali Pinkusa, popchnął go z lekka ku drzwiom, poczem z niskim ukłonem podszedł do pana Kotarskiego, wręczając zapisaną cyframi ćwiartkę papieru.

Pan Kotarski sprawdził rachunek.

— Bójcie się Boga! ależ drzecie niemiłosiernie! — zaczął.

Pomidorowicz załamał ręce.

— Słono! słono... — narzekał szlachcic.

— Panie dobrodziej! Bóg świadkiem! po cenie kosztu. Załedwie obstać można...

— Przecież wszystko za bezcen.

— Ale obroty małe! Prowizya się psuje... zapasów robić nie można... wszystko z dnia na dzień... to ogromnie kosztuje! panie dobrodziej! — tłumaczył się restaurator.

Kotarskiemu dość było na tem. Odliczył pieniądze.

Ale Pomidorowicz przez punkt honoru wyjaśniał w dalszym ciągu.

— Bo to, proszę pana dziedzica dobrodziej! — mówił — niby walny jarmark... a właściwie co? Jak panowie obywatele nie dadzą człowiekowi utargować, to kto ma dać? Chłop! cham? a może ci? — tu ukazał ręką w stronę stojących przy drzwiach Żydów i westchnął głęboko.

— Zapewne — potaknął Kotarski.

— A widzi pan dobrodziej! — podjął znów restaurator. — Jedno idzie za drugim. Oj! oj! — zalił się — inne człowiek pamięta czasy! inne! Był ruch! był... Teraz, z przeproszeniem, u panów obywateli bieda... Każdy się kurczy... Upadamy, panie dobrodziej! upadamy!

— Cóż robić...

— Aż żal serca ściska na samo wspomnienie! Czy to tak dawno?... Mój Boże! parę lat załedwie... kiedy to na przykład pan Oźga był jeszcze kawalerem! Obecny tu pan Szalawa może poświadczyć...

— Ba! ba! ba! — wtrącił od drugiego stolika Szalawa. — Lepiej nie wspominać!

A widząc, że się Kotarski zabiera do odjazdu, dodał:

— Cóż to sąsiad już fugas chrustas?

— Niema czego dłużej siedzieć — odrzekł pytany.

W tej chwili Pomidorowicza odwołano do sklepu, Szalawa zaś z Kotowiczem i Słotwińskim podeszli do Kotarskiego.

— Posiedź sąsiad jeszcze. Tyle naszego, co się nagadamy — jął przedstawiać Szalawa.

— Niepotrzebny wydatek — odrzekł Kotarski — skoro o interesach niema mowy. Na pszenicę kompletnie brak kupca.

— I wełna spadła — dorzucił Słotwiński.

— Wszystko to niemiecka sztuczka — zauważył Szalawa. — Ale siadaj sąsiad, do wieczora jeszcze kawał, będziesz na czas... Pogadamy. Może jeszcze kto nadjedzie, będzie weselej...

Jakby na potwierdzenie tych słów, rozległ się turkot wózka. Szaława podbiegł do okna. Wyjrzał.

— Bortnisio! we własnej osobie! A co? nie mówiłem!

— To pewnie z żoną? — spytał Kotowicz.

— A i pani Julia także — potwierdził Szaława.

— Krótco go trzyma niewiasta — zauważył Słotwiński.

— Podobno samego krokiem z domu nie puszcza. Wszędzie oboje razem.

— Ale im z tem dobrze — odezwał się Kotarski. — Pani wzięła wszystko w swoje ręce... Gospodyni zawołana! wieprze wypasa, na targi jeździ i, jak słyszałem, wszystkie wydatki z tego źródła opędza. Taka żona to skarb!

— Niewątpliwie. Ale ktoby się był tego spodziewał? Panna trzpiot... naraz ekonom w spódnicy! — zaśmiał się Szaława.

— Kto się ożeni, ten się odmieni. Ale że Bortnicki dobrze trafił, to fakt. Przydałaby się niejednemu taka żona...

— Pocziwemu Oźdze naprzykład — dorzucił, zbliżając się do rozmawiających, pan Warzyński.

— Za pozwoleniem! — zaoponował Szaława. — Przeciwnie pani Jadwidze ani słowa. Zaczności kobieta! za... cno...ści!

Warzyński schylił głowę.

— Któż przeczy? któż przeczy? Wzór kobiet! ale dla naszego Krzysia przydałaby się taka pani Julia wła-

śnie. Wzięłaby go od razu w ryzy i poprowadziła interes jak należy. Do tego się tylko mówi...

— To co innego — zgodził się Szaława. — Dajcie jednak pokój Krzychowi — dodał po chwili. — Ma i on za swoje!

— Wszystkiego narobiła ta niefortunna sprzedaż lasu — wtrącił Słotwiński.

— Zapewne. Grosza nie oglądał! Żydzi pokładli u reagenta areszty i zadrapali wszystko — objaśnił Szaława.

— A ja z sumą nieletnich zostałem — dorzucił nawiasowo Warzyński.

— Mało tego — opowiadał w dalszym ciągu „książę“: — zostało jeszcze kilkadziesiąt tysięcy długu z kawalerskich czasów. Wierzyciele wpakowali się na hipotekę, a na dobitkę...

— Na dobitkę — uprzedził Kotarski — i sam kontrakt głupio spisany, chociaż wiadomo, że radca Proński z Barszczewskim byli przy umowie. Sprzedali las na włóki i teraz Żyd utrzymuje, że kupił razem z ziemią. Wytoczył proces... dyabli wiedzą, jak jeszcze wypadnie! Serdecznie mi żal Oźgi...

— Szkoda człowieka! gospodarz dobry... sąsiad od serca... Wątpię, czy się wygrzebie — wtrącił z odcieniem żalu Kotowicz.

— W innych czasach... może, ale teraz ciężko... A na niczyją pomoc liczyć nie może. U Prońskiego kuso... Barszczewski, choć gospodarz i rachunkowy, bokami robi, jak my wszyscy — odpowiadając na pytanie Kotowicza, odezwał się Słotwiński.

— A kto dziś dobrze stoi? — zauważyli równocześnie Szalawa z Kotarskim.

Z kilku piersi wydobyło się westchnienie.

Kotarski powtórzył pytanie: „Kto dziś dobrze stoi?” i zaczął wyliczać:

— W całej okolicy jeden Chojnacki. Ale to nic dziwnego: dwie wioski czyste... sam jeden... jak palec. Trzymają się jako tako Żyłkowie... Bortniccy, dzięki wyjątkowej zabiegliwości pani Julii, no i — tu zwrócił się do Warzyńskiego — sąsiad dobrodziej, choć stęka i narzeka... To i wszystko! na palcach jednej ręki policzy...

Warzyński machnął ręką.

— Kpij sąsiad zdrów — zaczął — ale i moje interesa pokrzyżowały się dyabelnie. Musiałem bratankom ze swego dopomódz, bo wiadomo wam, że z Kościeszówki nie odebrałem grosza. Wiem, że nie przypadnie, lecz tymczasem...

Nie dokończył zaczętego zdania, bo w tej chwili drzwi od sklepu otwarły się z łoskotem i do sali wszedł niski, otyły, nieznanym nikomu mężczyzna.

Nieznajomy siadł za najbliższym stolikiem, obrzucił wzrokiem obecnych, wreszcie skinął na kręcącego się nieopodal Sofę.

— Słuchaj-no! Niema tu między wami niejakiego Rajzman? — spytał zbliżającego się z ukłonem faktora.

— Niema. Ale może być zaraz, jak jaśnie pan każe.

— To go zawołaj. Powiesz, że przyjechał ten pan z pod Siedlec...

Ostatnie wyrazy, wymówione głośno, zaciekały wszystkich.

— To jakaś obca figura — mruknął Szalawa i zaczął się przybyłemu uważnie przypatrywać. — Spasiony jak rzeźnik — zauważył półgłosem.

W końcu, nie mogąc przewyciężyć ciekawości, powstał, raz i drugi przeszedł się po sali, wreszcie podszedł do nieznajomego i spytał:

— Pan dobrodziej, widać, z daleka?

— Z Podlaskiego.

— Zaraz poznałem. Czy także na walny jarmark do nas?

— O nie! mam interes w tych stronach.

Szalawę zafrapowała ta wiadomość.

— Interes w naszych stronach? ani chybi, chce kupić majątek — pomyślał, jeszcze bardziej zciekawiony.

Ale nie wypadało pytać o więcej, nie przedstawivszy się. Stał tedy chwilę, wreszcie zdecydowany ostatecznie na zawarcie znajomości, wyciągając rękę do nieznajomego, przemówił:

— Pozwoli pan... Szalawa, właściciel ziemski z tych stron.

Nieznajomy powstał i, uściśnawszy podawaną dłoń, odrzekł:

— Bardzo mi przyjemnie! Anzelm Sonkiel, do usług...

— Sakiel? Sakiel? — podchwycił żywo Szalawa. — Znałem Sakielów! Mieli ładny majątek w okolicach Białej. Czy nie krewni?

— O, nie! — zaprzeczył towarzysz. — Nawet nie imiennicy. Tamci piszą się przez a, a my przez n. Ale ich znałem. Utracyszcie, przeszastali wszystko... Ale siadajmy...

Podał Szalawie krzesło. Ten usiadł i po chwili znów rzucił pytanie:

— Więc pan dobrodziej za interesem w nasze strony? Wolno spytać o szczegóły?

— Sprzedało się habendę... Chciałbym co kupić...

— Zgadłem! — pomyślał Szalawa, a głośno dodał:

— Teraz majątków nie brakuje. Chociaż u nas trzymają się jeszcze. Ziemie dobre... rodzi się jako tako, klepiemy biedę, ale siedzimy na zagonie. A ma pan już co upatrzonego?

— Niby...

— Ciekawym. Znam tu każdą pędź ziemi na wylot. Mógłbym pana poinformować... Ciekawym! — indagował w dalszym ciągu Szalawa, a widząc, że Żydzi, z ciekawieni również, zaczęli się zbliżać do stolika, kolując i nasłuchując, zaproponował:

— Bardzo mi przyjemnie było poznać szanownego pana, w przyszłości być może... sąsiada, ale jestem w towarzystwie. Sami znajomi... obywatele... ziemianie — uprzedził. — Może pan dobrodziej pozwoli do naszego towarzystwa? Będzie nam różnie... Pogadamy swobodnie... Zapoznam pana z miejscowym obywatelstwem...

Sonkiel uprzejmem skinieniem głowy podziękował.

— I owszem — rzekł, powstając.

Wziął go Szalawa pod ramię i, podprowadziwszy

do stolików, przy których wszyscy, z wyjątkiem Kotarskiego, który już był odjechał, siedzieli, prezentował:

— Pan Anzelm Sonkiel, obywatel, Podlasiak, z tych Sonków przez n... kapitalista, szukający majątku...

— Bardzo nam przyjemnie! Prosimy! prosimy! — odezwano się chórem.

Wyciągnęły się dłonie na powitanie, w mig zrobiono gościowi miejsce za stołem, posypały się pytania.

— Więc szanowny pan poszukuje majątku? — zagadnął Słotwiński.

— Ma już coś upatrzonego — dorzucił Szalawa.

— W tej okolicy? — pytał równocześnie Kotowicz.

Nagabywany tak obcesowo Sonkiel przypatrywał się czas jakiś badawczo nowym znajomym, wreszcie zaczął:

— Majątek, nie majątek, bo mię na to nie stać... i nie dobra, nie folwark, bo na tem niema interesu. Ale włók kilkanaście kupię chętnie na handel...

— Na handel? — powtórzył Kotowicz, nie zrozumiawszy.

— A na handel. W moich stronach praktykuje się to z powodzeniem. Zęby na tem zjadłem. Miałem najpierw dobrą dzierżawę pod Kutnem, odstąpiłem, zarobiwszy... Trafił mi się zapuszczony folwark niedaleko Międzyrzecza. Właściciel wylatywał... kupiłem za bezcen. W rok, panie, połatawszy budynek, sprzedałem... bo właśnie wystawiono na sprzedaż majątek duży w drodze działów... a właściwie to wierzyciele subhastowali...

Było kilka hypotek... Stałem do licytacji, kupiłem jedną nomenklaturę... pustka straszna! wertepy! pastwiska i wyręby same! Ale od czegoż olej! — puknął w czoło i, zapalając się, opowiadał dalej: — Zmajstrowało się budyneczki od oka, kupiło kilkanaście szkap, zasiało... Nowiny rodne... Przez lat parę wyciągnęło się z ziemi co można i dalej między ludzi...

Sluchacze spojrzeli po sobie znacząco. Nowy towarzysz nie przypadł im do gustu.

— Ciekawe homo! — mruknął Słotwińskiemu na ucho Kotowicz.

— Ale po kiego dyabła przywłókl się aż tu? — zauważył półgłosem Warzyński.

— Ma coś upatrzonego, jak mówił „książę” — się, opowiadał w najlepsze:

— Ostatecznie kupiłem habendę... dwie mile od Siedlec. Ale i tę przy pomocy Bożej zepchnąłem. Nie trafiło się na razie nic odpowiedniego w tamtych stronach... osiadłem na bruku z kapitałem... odrzekł na to Słotwiński.

Sonkiel nie zauważył złego wrażenia i, rozgadawszy

— Wszystko to bardzo pięknie, mój łaskawco — przerwał mu Warzyński oziębło — ale w naszych stronach jeszcze o takie interesa, na szczęście, nie łatwo. Ziemią nie handlujemy, nie sprzedajemy ojcowizny po kawałku, każdy trzyma się do ostatniego; a jeśli już kogo los dotknie, to wątpię, czyby się znalazł obywatel, coby licytować sąsiada pojechał. U nas to jeszcze nie uchodzi. Przynajmniej dotąd takiego wypadku nie było.

Sonkiel spojrzął z pod oka, zrozumiawszy przymówkę. Zaczerwienił się przytem nieco, bo mu słowa Warzyńskiego w niesmak poszły, nakoniec po chwilowej przerwie odrzekł:

— Szeroko o tem król Dawid pisał... czy tak jest w istocie, jak szanowny pan wspominał...

— Zareczam — upewnił nie bez oburzenia Warzyński.

— To i gorzej — ciągnął Sonkiel. — Bo któż w rezultacie na licytacjach kupuje? Żydzi. Czy licytowany wychodzi na tem lepiej? Nie. Ale mniejsza o to. Każdy ma swoje przekonania. Co do mnie, przyjechałem w te strony, bo mi faktor z Międzyrzecza doniósł, że tu któryś z kupców leśnych ma kawał ziemi do sprzedania. Mam nawet list tego kupca, bo pisał do mnie. Cenę stawia niewysoką, a że, spodziewam się, gleba dobra, więc przyjechałem obejrzyć na miejscu. Da się, kupię... nie, to wrócę z niczem. Czy w tem jest co złego? — spytał, zwracając się do obecnych.

Nikt się nie odezwał, a pan Szaława, który, zrobiwszy wielkie oczy, słuchał Sonkla z uwagą, powstał raptem od stołu i zaczął się przechadzać szybkimi krokami po sali, jakby się nad czemś głęboko namyślał.

Wreszcie wrócił do towarzystwa i, przysiadłszy obok Sonkla, zaczął:

— Znam tu, jak mówiłem, każdą piędź ziemi... a da libóg! nie mogę sobie przypomnieć, gdzieby to być mogło. Kupiec leśny... więc chyba ziemia z pod lasu?

Tracił nogą Kotowicza, na Warzyńskiego mrugnął znacząco.

— Zaraz panu powiem — odpowiedział Sonkiel, wydobywając z kieszeni surduta notatkę. — Żyd... Symcha Rajzman... majątek Kościeszówka... Polesia włók piętnaście... — odczytał.

Nie skończył jeszcze, kiedy Szalawa, porwawszy się na równe nogi, zaczął się śmiać na całe gardło, dając znaki innym, aby uczynili toż samo.

Sonkiel popatrzył nań ze zdziwieniem, zaniepokojony.

— Z czegoż się szanowny pan śmieje? — spytał wreszcie nieśmiało.

— A bo pana użyto! takiego wygę! takiego wygę! — wykrztusił Szalawa.

— Jakto?

— Rzec prosta. Przedewszystkiem grunt nie Rajzmana, lecz Krzysia Oźgi, naszego sąsiada. Wprawdzie toczy się o to proces, ale rzecz jeszcze nie rozstrzygnięta.

— Właśnie, że już rozstrzygnięta — przerwał Sonkiel. — Czytałem wyrok drugiej instancji...

Stopił się Szalawa tą wiadomością, ale nie stracił fantazyi.

— Choćby i tak było... jest jeszcze trzecia. Sprawa pociągnie się jeszcze rok, a może dwa — dowodził w dalszym ciągu z entuzjazmem — a w dodatku... co za interes? Grunt z pod sosny, piaszczysty... karczunek trudny... robotnik drogi, a co najgorsza, że chłopci uroili sobie jakieś pastwisko i także występują z pretensjami...

Słotwiński spojrział na Szalawę ze zdziwieniem, nigdy bowiem o żadnym pastwisku w Kościeszówce nie słyszał, ale nic nie rzekł.

Szalawa mówił dalej:

— Ja tych chamów znam. Nie łatwo z nimi trafić do końca.

— Nic mi o tem nie wspominano — wtrącił Sonkiel.

— Ba! Żydzi, chcąc sprzedać, tają... Także mieliby się z czem chwalić! Ile też Symsio żądał?

— Pięćdziesiąt tysięcy.

Szalawa pokręcił głową.

— Ho! ho! ho! a karczunek? bajońskie sumy!

Tu wmieszał się do rozmowy Warzyński.

— Poza tem, co już sąsiad Szalawa panu opowiedział — zaczął ogólnikowo, aby koloryzacyi „księcia“ nie potwierdzić — na dnie tej sprawy jest jeszcze inna kwestya, którą czuję się w obowiązku szanownemu panu, jako obywatelowi i obcemu w tych stronach, wyjawić. To nieczysta historia! Rajzman po prostu podszedł pana Oźgę...

Sonkiel chrząknął, spuścił oczy, słuchał, nie przerywając.

Warzyński opowiedział szczegółowo przebieg sprzedaży lasu, pomyłkę, jaką w kontrakcie zrobiono, a którą handlarz na swą korzyść wyzyskać się starał.

— I dlatego, choćby ostatecznie pan Oźga przegrał, może Rajzman długo jeszcze czekać na kupca, bo nikt porządny do takiego interesu nie przyłoży ręki. Opinia uczciwych ludzi potępiłaby każdego, kto by z oszustem

w jakiegokolwiek wchodził konszachty — zakończył z niekłamanem oburzeniem.

— Tak! tak! — potwierdzili jednoznacznie wszyscy.

Twarz Sonkla oblała się ponsem. Słowa Warzyńskiego, skierowane wprost do jego osoby niejako, były groźbą, której się nie spodziewał, zasiadając przy stoliku, usłyszeć.

Udawać, że jej nie pojął, nie mógł, a obrażać się, skoro jeszcze interesu nie skończył, nie było właściwie za co.

Osądził też, że najstosowniej będzie z jego strony zasłonić się niewiadomością prawdy, co zresztą w istocie miało miejsce. Przytem rozmowa z Szalawą ostudziła w nim w znacznej mierze chęć do zamierzonego kupna.

Zaczął się tedy wymawiać:

— Gdybym był przedtem o tem, co z ust panów usłyszałem, wiedział, byłbym na pewno nie przyjechał. Słowo uczciwości! nie wiedziałem. Jednakże, skoro tu już jestem, kupię... nie kupię... zobaczę. Może się z panem Ożgą da jaki układzik zrobić? — rzucił nawiasowo. — Zobaczymy... Zdaje mi się jednak, że z panami sąsiadować nie będę... czego mocno żałuję, bo mi bardzo przyjemnie było poznać...

Co rzekłszy, wysunął się z za stołu pośpiesznie i z przesadną grzecznością pożegnał każdego z kolei.

Nie starano się go zatrzymać; odszedł też zaraz w drugi koniec sali, gdzie już nań oczekiwał wysłany poprzednio do Rajzmanu Mendel Sofa. Niebawem obaj wyszli z restauracji.

Po odejściu Sonkla w gronie sąsiadów Ożgi panowało czas jakiś głuche milczenie. Wszyscy, nie wyjmując Szalawy, stracili na humorze. Zasepiły się twarze, myśli nastroiły smutnie.

Po chwili odezwał się Warzyński:

— Nowy typ obywatela. Nie daj Boże, aby się u nas zagnieździł.

— Myślę, że do tego nie przyjdzie. Nakiwałeś mu sąsiad porządnie, a i ja zbrzydziłem tem pastwiskiem... Pewnie go ochota do kupna odeszła — uspokajał Szalawa.

— I ja tak myślę — potaknął Słotwiński. — Pierwszym mu ręki nie podałem.

— Tacy o to nie dbają — wtrącił Kotowicz. — Pół go sześć zresztą! Co najsmutniejsza, że Krzyś, jak się pokazuje, proces przegrał.

— Jeśli to prawda, to... to... — zaczął Szalawa, lecz nie dokończył, bo mu przerwał Warzyński.

— Niestety! prawda. Już wczoraj wiedziałem o tem, ale nie wspomniałem, bo na złą wiadomość zawsze pora. Jako wierzyciel hipoteczny, dostałem i ja kopię wyroku. Żał mi Ożgi serdecznie, serdecznie żał! Bo, według mego rachunku — objaśniał — po odpadnięciu piętnastu włók, wartość Kościeszówki zaledwie długi pokryje. Ja z moją sumą poczekam... nawet się upominać nie będę. Ale są inni... Szkoda człowieka!

— Szkoda człowieka! — powtórzył jak echo Szalawa.

I na uśmiechniętej zwykle twarzy „księcia“ odmalował się głęboki smutek.

Siedzieli jeszcze czas jakiś, gawędząc, ale rozmowa już się nie kleiła. Poczęto wołać o rachunek. Zjawił się Pomidorowicz, zapraszał, odradzając wyjazd o spóźnionej porze, zachwalał „wygodne numery”. Wy-mowa nie skutkowałą.

I znów z ust restauratora wybiegło wspomnienie dawnych, lepszych czasów, kiedy to pan Oźga na walnych jarmarkach bywał. Daremnie jednak powołał się na świadectwo pana Szalawy. „Książę”, nieusposobiony do gawędy, machnął ręką niecierpliwie.

— Daj mi pan święty pokój! — burknął. — Akurat mi teraz fiu-fiu w głowie!

V.

Pan Krzysztof Oźga całą noc prawie przepędził nad rachunkami. Dopiero nad ranem rzucił się w ubraniu na sofę, lecz zasnąć nie mógł. Wstał zaraz i wyszedł do gospodarstwa. Z przyzwyczajenia zajrzał do stajen, obory, zaszedł do stodół, pochodził czas jakiś po gumninie i, nie rzekłszy słowa do nikogo, ku wielkiemu zdziwieniu karbowych, wrócił do domu na śniadanie.

Wpadł jak po ogień. Wypił duszkiem szklankę herbaty, uścisnął czule krzątającą się żonę, pogładził złotą główkę Dziuchny, małego Jasia, co już szczebiotać zaczynał, wziął z rąk niańki, pobawił się chwilkę z synem i znów wyszedł pośpiesznie, odprowadzony smutnem wejrzeniem żony.

Szukał samotności, potrzebował jej. Widok żony i dzieci krwawił mu serce; uciekał z domu, gdzie wszystko uprzytomniało mu straszną rzeczywistość; z każdego kąta wiała troska i smutek, którym opędzić się nie mógł, na które nie znajdował żadnej rady.

Bo oto po trzech latach usilnych zabiegów, cią-

głych kłopotów, po latach ciężkiej walki w obronie gniazda, po złudnych nadziejach, któremi się dotychczas krzepił, musiał sobie powiedzieć, że „niema rady“.

Nie starczyło szczerej pokuty na zmazanie dawnych grzechów.

Jeszcze po sprzedaży lasu, choć cały fundusz wierzyciele zabrali, a nawet na pokrycie wszystkich długów, jak się okazało, brakło, liczył, że lat parę urodzaju, cen dobrych, przy oszczędności, postawi go na nogi. Liczył na względność Warzyńskiego, który na mały procent sumę nieletnich nadał mu zostawił, liczył trochę na pomoc teścia, a najwięcej na własną pracę, której w samej rzeczy nie szczędził.

Ale i tu spotkał go zawód. Urodzaje wprawdzie dopisywały, ale zboże tak spadło w cenie, że dochód za ledwie na zaspokojenie koniecznych potrzeb i utrzymanie gospodarstwa starczył. Nawet procentów nie było z czego płacić. Zalegały. O spłacie kapitału nie było mowy.

Na pomoc teścia w tych warunkach przestał rachować.

Proński, wywianowawszy córki gotowizną — dla Jangrotowej pożyczył nawet w swoim czasie trzydzieści tysięcy — wiązał za ledwie koniec z końcem, jak wszyscy zresztą. Przytem gospodarstwo w Prońsku nie szło już jak dawniej. Radca podupał na zdrowiu, gryzł się złym stanem interesów zięcia, trapił i, w pierw jeszcze od Oźgi zwątpiwszy w pomyślne zakończenie, wpadł w zwykłą u ludzi starszych apatyę, a raz zdaw-

szy wszystko na wolę Opatrzności, zupełnie opuścił ręce.

Lecz Oźga i w tych twardych okolicznościach nie stracił jeszcze wiary w lepsze jutro. Wyteżał siły, podwajał zabiegi, cudów niemal dokazywał, byle jako tako z roku na rok przeciągnąć. Nie zawsze mu się to udawało, zalegające procenty zwiększały często sumę długu, ale do ostatniej chwili opędał się zwątpieniu, krzepił nadzieją, że w przyjaźniejszych okolicznościach, które nadejść powinny, wyrobi się, ojcowiznę oczyści, dla dzieci utrzyma.

Wierzył w to głęboko i wiarę tę dzielił z ubóstwianą żoną, dla której od owej chwili, kiedy wróciwszy z Lipna, wyznał wszystko, nie miał zgola tajemnic.

A od tej chwili upłynęło lat trzy, lat przeplatanych nierzadko troską, utkanych marzeniami dni lepszych, witanych łzą i uśmiechem na przemian.

Dopiero proces z Rajzmanem, wynikły z niedość jasno napisanego kontraktu sprzedaży lasu, proces, który groził oddaniem za darmo znacznej części majątku, piętnastu włók poręby, zachwiał energię Oźgi.

Nie łudził się już, że w razie przegranej czeka go ruina, łudził się jednak jeszcze, że przegrać nie powinien. Oźga nie szczędził kosztów. Proces włókl się z górą półtora roku.

I ta ostatnia nić, podtrzymująca losy mieszkańców Kościeszówki, sczezła. Oźga przegrał.

Doręczono mu wyrok drugiej instancji, Szalawa pisał, że się już kupcy na porębę do Rajzmana zgłaszają...

Ożgę ogarnęła rozpacz. Ugiął się pod tym gremem, zwątpił.

Opuściły go silna wola i ufność, pierś rozdarł beznadziejny smutek.

Całe szczęście, że wiadomość o nieszczęściu doszła Ożgę późnym wieczorem, kiedy już wszyscy spać się kładli, bo mógł przynajmniej ból i zgryzotę utopić w zmrokach nocy, mógł w samotności oprzytomnieć z pierwszego piorunującego wrażenia, mógł kochanej nad wszystko Jadwini kilka ostatnich może godzin spokoju i nadziei darować.

Dla niego znikły one na zawsze. Została mu tylko rozpaczliwa odwaga spojrzenia nieszczęściu w oczy.

Jakoż widział jasno, że teraz już niema żadnej rady, że naprzeciw niego idzie ruina, że już go bezlitosną dłonią chwyta, zgnieść usiłuje i... zgniecie.

Noc spędził nad rachunkami. Chciał ściśle poznać stan majątkowy. Nigdy dokładniej nie liczył.

I cyfry powiedziały toż samo: ruina!

Przy najpomyślniejszym zbiegu okoliczności, gdyby się udało sprzedać Kościeszówkę z wolnej ręki, mogło mu się zostać wszystkiego kilkanaście tysięcy... Ale czy się taki kupiec w tych czasach znajdzie? Czy wierzy-ciele dadzą mu czas go wyszukać?

Zakotłowało mu w głowie, pierś zalala gorycz, wszystkie tętna serca uderzyły bólem, w mózgu dzwoniło żalobnem echem: Stracone! wszystko stracone!

Nie było ratunku. Ożga czuł się bezradnym, złamanym, opanowało go przygnębienie, niechęć do wszel-

kiej walki z zawistnym losem, żal straconych bezowocnie wysiłków. Bierne poddanie się torowało sobie drogę do jego duszy.

Wtem wspomniał o żonie, o dzieciach... I zdjął go strach... opuściła odwaga rezygnacyi, umysł zaczął przeczyć strasznej rzeczywistości i szukać jakiej „dobrej myśli“, któraby stracone złudzenia zastąpić mogła.

Ożdze brakło siły do wypowiedzenia żonie prawdy nagiej, prawdy bezlitosnej... Jak przedtem odrzucał, tak teraz łaknąć począł choćby okruszków nadziei, któreby rozmiar nieszczęścia zmniejszyły. Ale nadzieja, raz odbiegłszy, już więcej do jego duszy wrócić nie miała.

I oto dlaczego, unikając widoku swoich kochanych, swoich drogich, wybiegł z domu i siedł teraz w szczere pola, pod niebo jasne w samotności przetapiać smutek i zgryzoty!

Lipcowe słońce dogrzewało silnie, bieląc półdojrzałe niwy. Od zachodu pociągał wiatr ciepły, biegł grzbieciem pól, przesmykiem miedzy przelatywał, brózdami w środek zboża się wciskał... Niwy falowały, szeleszcząc ciężkim kłosem. Strząsana wiatrem rosa poranna spływała po błyszczących w słońcu żdźbłach żyta i pszenicy, chłodząc spragnioną ziemię. Z ziemi bił szmer cichy: dzwoniły koniki polne, cykały świerszcze, ptactwo odzywało się świergotem; ponad ziemią dźwięczała pieśń skowronków, z łąków, pól i łąk płynął pogwar ludzkich głosów. W powietrzu pełno było blasków, ciepła, woni i szeptów radosnych bogatej urodzajem ziemi!...

Ożga siedł bez celu. Jarzące słońce rzucało w zasępioną twarz jego ulewę blasków, powiew wiatru wi-

chrzył przeplecione przedwcześnie srebrem płowe włosy, a on szedł, błędząc okiem po okalających polną drogę ścianach ozimin, na nic nie zwracając uwagi, jak gdyby punktu oparcia dla wzroku nie znajdował.

Niekiedy przystawał, tarł chmurne czoło dłonią, czasem chwytal w rękę pęk kłosów, wygniatal twardejące ziarno i, nie obejrzawszy, rzucał machinalnie w pył drożny. I znów ruszał naprzód z jakimś gorączkowym pośpiechem, jakby przed czymś uciekał lub coś gonił. Minał orzące koniczysko pługi, przeszedł obok kładących rzepak żeńców, wbrew zwyczajowi nie zatrzymując się nigdzie.

Tylko wzdychał głucho raz po raz, za głowę się chwytal i szeptał drżącymi wargami bezładnie: „Stracone! stracone!”

W miarę oddalania się od folwarku ogarniał go coraz większy rozstrój, coraz donośniej dźwięczało straszne pytanie: co począć?

Powtarzał je sobie po tysiąc razy, żadnej nie znajdując odpowiedzi. „Dobra myśl” nie przychodziła.

Wreszcie ruch, wysiłek fizyczny i powietrze świeże zaczęły oddziaływać.

Ożga uczył niejaką ulgę; chaotyczny zamęt, jaki go zewsząd otaczał, cichł, ustępując miejsca wyczerpaniu.

Kończyły się właśnie pola orne. Z drugiej strony drogi, którą szedł, rozciągała się duża, pusta przestrzeń... poręba.

Ożga postąpił kilka kroków, wszedł w środek i usiadł na pierwszym napotkanym pniaku. Siedział jakiś czas

nieruchomy, z okiem utkwionem w uschlą gałązkę leżącego przy jego nogach chróstu. Nawet myśl przestała pracować. Dumał tylko.

Nagle rozległ się turkot wozu, w powietrzu przeleciała nuta piosenki. Ożga podniósł głowę, spojrzal.

Drogą ku wsi toczył się wóz drabiniasty.

Chłop stał na spodniarce, postrzeliwał z bata, nucąc wesoło.

Wzdrygnął się. Coś niby zazdrość szarpnęło mu sercem. Spuścił w dół oczy.

I znów wspomnienia uderzyły falą. Nikły jedno, rozbrzmiewały drugie, a każde rodziło ból, oblewało smutkiem, każde mówiło: „za późno!”

W oczach Ożgi pojawiły się łzy, drżące wargi bezwiednie powtórzyły: „za późno!”

Wszystko za późno!

I trzy lata wysiłków, i praca, i ten żal nawet, który mu teraz piersi wypełniał, wszystko przychodziło za późno.

Ożga płakał...

Wreszcie wstrząsnął się całym ciałem, porwał na równe nogi, obejrzał trwożliwie na okół i... promień słońca załamał się na błyszczącym przedmiocie.

Ożga mierzył... we własne serce.

Mierzył długo, chciał trafić celnie... raz skończyć.

Wtem tuż obok niego rozległ się głos ludzki:

— Niech będzie pochwalony!

Ożga nerwowym ruchem opuścił broń, w bok uskokzył. Krew uderzyła mu do głowy... Z poza krzaka pu-

szczającej się w porębie osiczyzny ukazała się najpierw lniana główka małej dziewczynki, a potem rumiana postać chłopki...

— Niech będzie pochwalony! — zabrzmiało znów.

— Na wieki wieków! A, to wy Stykowa! Cóż tu robicie? — zaczął teraz zdławionym głosem, ocierając zimny pot z czoła.

Stykowa schyliła się do kolan.

— Za jagodami chodzimy, wielmożny panie! Wczoraj wielmożna dziedziczka obsyłała, żeby uzbierać...

— To dobrze! to dobrze... — odezwał się, aby coś odpowiedzieć, a potem z niejakim lękiem w głosie dodał:

— A ja... tak w pole wyszedłem i zaraz wracam.

Chłopka skłoniła się znów i chciała odejść.

Zatrzymał ją gestem i, ukazując na trzymające się mateczynego fartucha dziecko, spytał:

— To mleczna siostrzyczka mej Dziuchny?

— Tak, wielmożny panie!

— Ładne dziecko... a jaka duża!

— Z łaski Boga chowa się zdrowo...

— Chodźże tu do mnie... niech ci się przypatrzę...

Jakże jej na imię?

— Także Jadwisia — odrzekła Stykowa, doprowadzając dziecko.

— Także Jadwisia — powtórzył, gładząc malutką po głowie. — Także Jadwisia...

— A i synka dał nam Pan Bóg także Jasia... jak u wielmożnych państwa! — pochwaliła się.

Ożga westchnął.

— Wszystko jak u nas! oj, nie wszystko! Ale bywajcie zdrowi — dokończył szybko, czując, że dłużej nie zapanuje nad sobą, i prawie pędem puścił się ku domowi. Biegł...

W powietrzu robiło się coraz parniej, pod słońcem zaczęły przelatywać kłębiaste chmury, niby dymy kurne nad ogniskiem, górą stropem niebios szedł huk głuchy. Zanosilo się na burzę.

Nagle błyskawica rozdarła chmury, przelatując złoistym węzem ku ziemi. Zadygotało w przestworzu, zawył raptownie wichur, rozległ się trzask tępy piorunów. Potem sunął od chmur cień szary, zgasił blaski.

Ożga zwolnił kroku. Spojrzał ku górze. Z niewielkiej, zawieszonej nad jego głową chmurki oderwało się żółtawe pasmo, runęło w dół, rozsypując się po horyzoncie sznurem, do bicia odpustowych paciorków podobnym.

I w bładą twarz Ożgi sypnął grad, kalecząc lodowym pociskiem do krwi.

Ożga instynktownie przyskonił twarz rękoma, ale z miejsca nie ruszył.

Grad siekł. A on stał odrętwiały, na ból nie zważając, z ramieniem w górę wzniesionem, jakby do walki wyzywał niszczący żywioł. Zaciśnięte nerwowo szczęki nie puszczały żadnego dźwięku.

Tylko ze żrenic, utkwionych w łopocące w przestworzu tumany, strzelala jakaś groza i zaciętość.

Bo oto pod wrażeniem klęski, która już bez jego przychodziła winy, uczuł w duszy bunt przeciw zawistnej

doli, ścigającej go z taką zaciekłością. Przetlona nie-
szczęściami chęć oporu odżyła na nowo, świeża rana
wzbudziła czucie bólu i potrzebę, konieczność ratunku.
A nadewszystko jakiś głos dobry, kojący, zaczął mu
szeptać pocieszeniem, że świeże nieszczęście nie jest naj-
większem, że stokroć groźniejszego uniknął przed chwilą,
że to nowe ugodziło bez jego woli, a tamto... tamto sam
ściągał na swą głowę. Mówił mu jeszcze ten głos dobry,
że niema niedoli, któraby dołą na zawsze wypłenić mo-
gła, bólów wieczystych, nieszczęść bez kresu, po któ-
rych już szczęście nigdy nie wraca, prócz jednego... I je-
szcze mówił o tych najbiedniejszych, którzy we wła-
snych piersiach nawet żalu nad sobą nie znajdują, o za-
łościach krzepiących, o prawie do takiej żalości.

Ożga słuchał tych szeptów, które mu się pociecha
w piersiach rozlały. I nagle niezwykle jakieś radosne
wzruszenie zajrzało mu w serce, jakaś moc słodka prze-
biegła w żyłach. Odczuł, że najbiedniejszym nie jest,
że taką krzepiącą żalność ma w sobie, że na nią zasłu-
żył, że mu wolno żałować samego siebie...

I teraz prawie z wdzięcznością spojrzął ku przela-
tującemu chmurom. Burza cichła.

Z pomiędzy rozstrzępionych obłoków wyjrzał krąg
słoneczny, niebo jaśniało, błękitniało coraz szerzej, co-
raz więcej. Tylko z oddali dolatywał jeszcze szum na-
wahnicy i widać było staczające się ku ziemi obłoki, ol-
brzymią wstęgę, która się kładła na pola pasem bia-
łym, do łąnu zakwitłej tataraki podobnym. I chłód prze-
jmujący wiał zewsząd.

Ożga patrzył spokojnie na obraz zniszczenia.

Najbliższe niwy legły przybite gradem. Z działu ży-
ta sterczały pogięte źdźbła, zmulone kłosy chwiały się
gdzieniegdzie, spływające z brózd strugi niosły wytłuczone
ziarno.

Szczęściem nawalnica szła wąską tylko smugą. Już
w sąsiednim obsianem pszenicą polu grad nieznaczną
wyrządził szkodę.

W Oździe zaczęło rość serce...

— Chwała Bogu! — szepnął i szybkim krokiem ru-
szyl na obejrzenie pól dalszych.

Jarzyny stały nietknięte.

— Chwała Bogu! — powtórzył znów.

O rzepak był już spokojny, mimo to skierował się
w tę stronę.

— Trzeba będzie kazać ścinać gradowiznę i żytni-
sko zasiać wyką. Przynajmniej będzie pasza — rozważał.

Za chwilę wydawał z ożywieniem dozorującemu żni-
wa rzepaku ekonomowi odpowiednią dyspozycję. Pocz-
ciwy Pietroszewski dawno już dziedzica takim nie
widział.

Zdziwiony wielce, że Ożga tak spokojnie o doznanej
klęsce rozpowiada, ośmielił się wreszcie spytać z nie-
jakim powątpiewaniem:

— To chyba, panie dziedzicu, całego działka żyta
nie wytłukło?

— Caluteńki i pszenicy się krzynkę dostało.

— Straszne nieszczęście! — westchnął ekonom. —
Tu kropla deszczu nie padła. Myślałem, że stronami prze-
jdzie — dodał i jeszcze raz powtórzył: — Straszne nie-
szczęście! a pan dziedzic jakby nigdy nie...

— Cóż chcesz, żebym beczał jak dziecko? Trzeba się starać złe naprawić. Ot, co nam zostało do zrobienia, panie Pietroszewski! — odrzekł prawie wesoło Oźga.

Poklepał starego sługę po ramieniu i zamyślił się.

— Bywały większe nieszczęścia i... przechodziły — dokończył po chwili zmienionym tonem, spojrzawszy w stronę poręby.

Odwrócił się raptownie, aby ukryć wzruszenie. Poczem zaczął iść szybko ku domowi, kilkakrotnie powtarzając z wyrzutem:

— Jak ja nawet mogłem o czemś podobnem pomyśleć! jak mogłem!

Burza przeszła.

Tymczasem pod nieobecność Oźgi zaraz z rana już drugi gość zajeżdżał przed kościeszowski dworek. Pierwszy, dowiedziawszy się od służby, że pan w polu, odjechał natychmiast; powiedział zaledwie, jak się nazywa.

Nazwisko było nieznane nikomu, twarz obca.

Drugiego znali wszyscy, bo dziedzic Pękocławia częstym tu bywał gościem.

Nikogo też ranna wizyta Chojnackiego nie zdziwiła, a najmniej panią Krzysztofową, którą jeszcze przy śniadaniu z dzieciarnią zastał. Powitała go serdecznie, jak zwykle, zapraszając na herbatę. Siadł za stołem, wziął na kolana Dziuchnę, która sama do chrzestnego tatusia przybiegła, i miał już rzucić stereotypowe „co u państwa słychać?” — lecz, spojrzawszy w znękaną twarz Krzysztofowej, umilkł.

Jakoż pytanie było niepotrzebne. Ta twarz mówiła niepytana: troska.

Chojnacki objął jej postać smutnem wejrzeniem. Była piękna jak dawniej, tylko oczy miały teraz jakiś wyraz zmęczenia, cera straciła świeżość, czoło karbowyła maleńkie, zaledwie dostrzegalne brózdy.

Serce uderzyło mu żywiej, zaczął się pieścić z Dziuchną — i dopiero po chwili, zdobywając się na sztuczny spokój, zaczął:

— Krzysia, jak widzę, niema?

— Wyszedł w pole. Może posłać?

— O! nie potrzeba. Mam wprawdzie do niego interes... ale mogę załatwić innym razem. Nic pilnego. Dziś nawet nie mam zbyt wiele czasu. Skorzystam za to z dogodnej sposobności, bo pragnąłbym z panią pomówić...

— Ze mną?

— Tak. Jeżeli pani pozwoli — potwierdził głosem przyciszonym, proszącym niemal, a brzmiącym tak jakoś niezwykle, że Krzysztofowa zaczęła nań spoglądać wielkimi oczyma, zdziwiona, zakłopotana, jakby się lękała usłyszeć słów, które z ust jego wybiedz mogły.

Zawahała się, zalekła.

Nie była to trwoga, lecz raczej bojaźliwe przecucie, że ją spotka coś niespodziewanego — pytanie lub prośba, na którą nie będzie mogła dać odpowiedzi szczerzej, — życzenie, któremu, mimo chęci, zadość uczynić nie jest w stanie.

Gorący rumieniec wystąpił na oblicze Krzysztofo-

wej, pierś poczęła falować przyspieszonym oddechem, jakaś myśl boląca zakłuła w serce.

Ale to trwało krótko, sekund zaledwie kilka. Bo oto po chwili zaczęła się wstydzić tej myśli, opędnąć się jej usilnie, żałować, że zrodzić się mogła.

Przed nią stał człowiek, dla którego miała szacunek wielki i więcej niż szacunek, bo był jej bratem po sercu, — człowiek, do którego nieraz w strapieniu biegła — myślą — o pomoc, który w jej szczęściu widział własne i poprzestawał na tem, — człowiek, któremu się dobra wiara należy.

I zdjął ją żal serdeczny, że wiary tej przed chwilą nie miała.

Więc zaraz zaczęła patrzeć inaczej, już bez krzywdzącej bojaźni, tylko z tem przenikliwym zaciekawieniem, które za przyzwolenie starczy, które, uprzedzając słowa, potakującą daje odpowiedź.

Nawet niewymuszony uśmiech przemknął teraz po ustach Krzysztofowej i utonął gdzieś w tych dołkach, które się jeszcze nieproszonego rumieńca nie pozbyły.

— Służę panu. Siadajmy! — odezwała się swobodnie, ukazując na stojącą w rogu jadalni kanapę. — Tu nam będzie wygodniej. Proszę... panie Franciszku!

Sama też, nie zwlekając, siadła, robiąc Chojnickiemu miejsce obok siebie, i jakby dla ośmielenia, do rzuciła:

— Sami jesteśmy... Strasznie ciekawa!

Teraz po Chojnickiego twarzy przesunął się niepokój, wahanie, nieśmiałość.

Kilkakrotnie otwierał usta, ale widać nasuwane pamięcią słowa nie odpowiadały myśli.

Bo istotnie to, co wypowiedzieć pragnął, trudno było ująć w słowa, jak wszystko zresztą, co, w sercu wzięwszy początek, w mózgu środków uwidocznienia szukać musi.

Czas jakiś panowało kłopotliwe milczenie. Krzysztofowa nerwowo gładziła rozsypane nad czołem włosy, Chojnicki wpatrywał się uporczywie w wiszący nad biurkiem portret paniński pani domu. Wreszcie wyraziste rysy Chojnickiego przyoblekła spokojna powaga, z siwych oczu znikło wahanie. Rozprostował się, przysunął bliżej i, spojrzawszy pogodnie w twarz Krzysztofowej, począł miękkim, prawie śpiewnym głosem:

— Pani Jadwigo!... Czy przypomina sobie pani lat temu cztery... w sam chrzest Dziuchny wypowiedziane słowa? Rozmawialiśmy wtedy, a raczej ja sam twierdziłem, że w każdym z nas osiadłych na roli odradzają się, jak nowa trawa z każdą wiosną, zalety lub wady przodków...

Krzysztofowa słuchała z uwagą.

— Wtedy to w łaskawości swej raczyłaś pani wyrazić zdanie, że... ja... że mnie...

— Żeś pan przejął w puściźnie wielką prawość i zacne serce! — przerwała żywo. — Ja to zawsze mam w pamięci, bo pan... zapomnieć nie pozwala — dodała wzruszona i cudne jej oczy nagle wilgotnieć zaczęły.

Chojnicki skłonił się nisko.

— Tem lepiej dla mnie! — mówił dalej — bo właśnie o to tylko chciałem panią prosić, abys nigdy nie wątpiła, że zawsze pragnałem i pragnę sąd tak pochlebny usprawiedliwić i — tu głos mu się załamał — chciała wierzyć, że w postępkach mych... jedyną pobudką jest powinność prawego człowieka. Jedyną! — powtórzył z naciskiem.

Spojrzała zdziwiona.

— Nie rozumiem pana — szepnęła. — Czyżby pan posadzał mnie, że kiedykolwiek fałszywie...

Chojnacki ruchem zaprzeczył.

— O! pani Jadwigo! to zastrzeżenie na przyszłość wyłącznie — przerwał, podnosząc jej rękę do ust.

— Na przyszłość? — powtórzyła pytająco.

I znów oczy jej spoczęły badawczo na poważnej Chojnackiego twarzy.

On zaś mówił dalej, coraz szybciej, jakby się bał zapomnieć ułożonej w słowa myśli:

— Bo, widzi pani... Czy pani nie zauważyła, że są chwile w życiu ludzkim, jakby zsyłane losem na przypomnienie, że jesteśmy sobie bliźniami i... jako tacy mamy mało już prawo, ale obowiązek święty pomagać jedni drugim... że więc... nie powinno się nikomu zabraniać spełnienia obowiązku, przeczyć prawu, z którego każdemu korzystać dozwolono...

Krzysztofowa, w miarę jak mówił, zaczęła coraz lepiej pojmować, do czego zmierza. Na twarzy jej wykwił gorący rumieniec, na rzęsach zaświeciła łza. Uczuła w sercu słodycz, w piersiach jakąś moc wzruszającą, do wdzięczności podobną. Czując, że słów takich słuchała-

by długo, bardzo długo, bo każde z nich mówiło otuchą, niesło ufność, pokrzepienie, tłumiło smutki. I oto zrodziła się w niej niewinna chęć przedłużenia rozmowy, oczy zaczęły nabierać figlarnego wyrazu i z półotwartych ust mimowoli wybiegło:

— Tak... o ile bliźni nie korzysta już z „praw wyjątkowych...”

Chojnackim wstrząsnęło lekkie drżenie.

— Z praw wyjątkowych?... Czy dobrze słyszałem? — spytał po malej przerwie.

— Tak — odpowiedziała. — Tak, panie Franciszku!

Chojnacki przymusił się do uśmiechu, ona zaś po chwilowym namyśle rzekła jeszcze:

— Tak, panie Franciszku! A pan właśnie do tych wyjątkowych bliźnich należy.

Teraz głos jej brzmiał poważnie, słowa z trudnością przeciskały się przez drżące wargi.

— Będę otwartą. Pomówmy szczerze. Ja pana teraz dobrze rozumiem — mówiła, rumieniąc się coraz więcej. — Ja wiem zresztą to nawet, że pan panu Warzyńskiemu w sekrecie poręczył odbiór sumy, jaką ma u nas... Ja to odgadłam... przeczułam. Ja wiem, że... że... pan chciałby nam pomódz... I proszę mi wierzyć, że niczyjej pomocy nie przyjąłabym wdzięczniejszem sercem. Ale, panie Franciszku! czasem najszlachetniejsze uczucia muszą ustąpić przed...

— Urojona przeszkodą — przerwał żywo, z niezwykle kłym zapalem.

— Przed wspomnieniami — dokończyła szeptem.

Twarz Chojnackiego powlokła się chmurą, w siwych uczciwych oczach mignął przelotnie ból, czoło zaczęło się brózdzić.

Westchnął. Krzysztofowa wyciągnęła doń obie ręce. Pochwycił je skwapliwie, ucałował.

— Racz mię pani posłuchać jeszcze — przemówił znów. — I ja będę otwartym, do zbytku może otwartym.

— Słucham pana.

— Ja znam i na równi z panią uznaję ważność przyczyny... Niegdyś miałem śmiałość sięgać po szczęście dla innego przeznaczone... Rozumiem, że Krzys dla mnie o pomoc nie zwróci się nigdy! — zawahał się. — Cierpiałaby na tem jego duma... Ja to rozumiem i nie wolno mi lekceważyć niczyich uczuć, ja to w Krzysiu cenię... wysoko cenię... bo to charakter! — mówił z coraz większem przejęciem. — Sam nawet w takim położeniu uczuwałbym może pewien skrupułów...

Spojrzał na słuchającą w zamyśleniu Jadwigę i urwał, bo w tej chwili wydało mu się, że on nie miałby żadnych skrupułów, że bez rozmysłu rzuciłby w kąt wszystkie uczucia, a zachował tylko jedną wielką, bezgraniczną miłość.

Ale tego nie powiedział. Tylko, nie kończąc już przerwanego zdania, zaczął na nowo:

— Nie przeczę, że, gdybym kiedykolwiek w życiu znalazł sposobność i możność udowodnienia, jak drogie dla mnie są te... wspomnienia, byłbym niewymownie, niewymownie szczęśliwym; lecz w obecnej chwili nie marzę nawet o tem. Prośba, jaką zaniósłem, pani Jadwigo, zawiera tylko bardzo egoistyczne życzenie. Użyję

porównania... starej dla dzieci bajki: Jesteśmy wiazanką, pękiem kijeków... Własny interes nakazuje nam strzedz pilnie, aby z tej wiazanki żadnego nie ubyło.

Znów urwał. Krzysztofowa milczała, przyciskając drżącą ręką skronie, na które wystąpiła błękitna siatka żyłek.

Jaskrawy promień wybijającego się słońca zajrzał ciekawie w nizkie szyby dworku, padł między dwie pochylone wzruszeniem głowy pasmem złotem i unoszące się z serc dwojga marzenia w rozświetli migotliwą zagarnął.

Chojnacki, jakby w obawie świetlanego świadka, powstał i kończył z pośpiechem:

— Więc, gdyby przyszłość zesłała mi kiedykolwiek sposobność pośpieszenia z pomocą, uczyniłbym to z powinności obywatelskiej, bo jestem także jednym z kijeków w tej wiazce. Z powinności obywatelskiej — powtórzył z naciskiem — a na tem chyba niczyja już duma cierpiećby nie mogła.

Odetchnął głęboko, poczem, zniżając głos, spytał:

— Wszak prawda? Niczyja? Czy pani wierzy moim słowom?

Chwilę nie było odpowiedzi, więc ponowił pytanie. Skinęła głową.

— Dziękuję. Zależało mi na tem tyle... — „co na życiu“, chciał powiedzieć, ale nie dokończył jeszcze, kiedy Krzysztofowa wybuchnęła płaczem.

Chojnackiego odbiegła powaga, ściągnięte rysy zaczęły drżeć nerwowo, wargi chlipać...

— Pani Jadwigo! pani Jadwigo! Na miłość Boską! co pani? — jąkał, ujmując jej ręce.

— Nie... nie... — odrzekła, z trudnością łyżę powstrzymując. — Zwykłe wzruszenie... A to wszystko przez pana — dodała, siląc się na żartobliwość.

Chojnacki również starał się przymusić do uśmiechu i żartem pokryć zmieszanie.

Jał więc potakiwać gorąco:

— Pewnie, że przeze mnie... pewnie, że przeze mnie... Sam nie wiem, skąd mi przyszło do głowy nudzić pania jakimiś zwierzeniami i prośbami. Tak jakby ktoś mógł przyszłość przewidzieć!... Niechże mi pani wybaczy... Pesymistyczny nastrój to wada każdego samotnika... — mówił, nie dając jej przyjść do słowa, a potem, ujrawszy bawiącą się w kąciку Dziuchnę, pobiegł szybko i wziął malutką w ramiona. Huśtał, podrzucał w górę, lachotał wąsami, gził się jak dzieciak. Czynił to początkowo dla przerwania drażliwej dyskusji, ale następnie tak się rozochocił, że pani Jadwiga, która już cokolwiek ochłonęła z przebytych wzruszeń, aż mitygować musiała.

— Panie Franciszku! co pan wyprawia! Dziuchna! puść pana!

Ale Dziuchna ani myślała „puścić pana“; przeciwnie, jeszcze silniej objęła rączkami szyję Chojnackiego i, zwieszona przez ramię, chichotała dźwięcznym, srebrnym głosikiem, unosząc merdające stopki w górę i pokrzykując: „to ch am pana! to ch am pana!“

A „panu“ jakoś dziwnie świeciło teraz w oczach.

Przyciskał twarz do kędzierzawej główki, lgnął ustami do różowego ciała, całował raz po raz w „ślepki, nosik, broduchnę“ i gonił koło stołu, wołając:

— Nie dam Dziuchny! nie dam!

Wreszcie „mamusia“, widząc, że strofowanie nie skutkuje, wdała się czynnie w te figle, odbierając przeemocą zanoszącą się od śmiechu córkę.

Chojnacki zadyszany rzucił się na stół.

— A co? — przemówił, nawiązując rozmowę. — Przydałbym się na piastunkę?! Zgodzę się do państwa od Nowego Roku...

Krzysztofowa westchnęła.

— Od Nowego Roku — powtórzyła, a potem zamysłając się, szepnęła smutnie:

— Kto wie, gdzie nas Rok Nowy zastanie...

Chojnacki udawał, że nie słyszy. Zaraz też zaczął mówić obojętnym tonem o gospodarskich sprawach, o cenach zboża, o urodzajach, które w tym roku zapowiadały się dobrze.

— U państwa zboża znakomite — chwalił — nigdzie takich nie spotkałem! Już to przyznać trzeba, że Krzyś, jako agronom, przoduje okolicy. Co on z tej Kościeszówki zrobił! Dzieckiem pamiętam, że nieboszczyka połowy pól nie siano... odlogi... ugory... A teraz! pszenica jak las... Macie państwo przy drodze jęczmień... dalibóg! takiej rzęsy, jak żyję, nie widziałem. Da co najmniej ziarn kilkanaście! Byłoby tylko pogodnie sprzątać, powinni na słód dobrze zapłacić. Zboże cokolwiek poszło w górę — dodał.

— Mówił mąż, że i rzepak prześliczny — przemówiła Krzysztofowa, pocieszona nieco.

— Rzeczywiście, bardzo piękny.

— Krzys obcuje sobie w tym roku część długu panu Warzyńskiemu spłacić. Mój Boże! — westchnęła — żeby nie ten proces, tobyśmy przy oszczędności mogli jeszcze wyjść z interesów. Pan był niedawno w Warszawie... nie słyszał pan przypadkiem, jak sprawa stoi?

— Nie. Nic nie słyszałem — skłamał bez namysłu, domyślając się, że Krzysztofowa jeszcze nie wie o przegranej.

— Może to i lepiej — pomyślał i, spojrzawszy na zegarek, zaczął się zbierać do wyjazdu, mówiąc:

— A to się zasiedziałem! Dziesiąta! Muszę śpieszyć, bo będę miał dziś kilku sąsiadów u siebie. Będzie próba pługów nowego systemu. Jeśliby Krzys znalazł chwilkę wolną, możeby wpadł po południu...

Uścisnął Dziuchnę, złożył pocałunek na rękę Krzysztofowej i z głębokim ukłonem skierował się ku drzwiom. Z progu zawrócił jeszcze, przystanął.

— Niechże mi pani będzie dobrej myśli — wyrzekł z naciskiem — dobrej myśli... Z Nowym Rokiem zgodzę się za piastunkę! — zażartował i, nim zdążyła cośkolwiek odpowiedzieć, wyszedł.

Po odjeździe gościa Krzysztofowa uczuła się jakby znużoną, wyczerpaną. Siadła przy oknie i, bawiąc się miękkimi kędziorkami wspartej o kolana matczyne Dziuchny, zadumała się głęboko. Ogarnęła ją rzewność i jakieś nieuchwytnie przeczucia zaczęły krążyć w sercu.

Nagle głuchy loskot wstrząsnął domem. Spojrzała z przestrachem w okna. Od zachodu toczył się wał czarny, pokrywał kłębamii chmur jasność dzienną i huczał potężnie.

Krzysztofową zdjął najpierw lęk wielki, zimny dreszcz przebiegł jej w żyłach; załamała ręce, a potem, jakby niewidzialną mocą pchnięta, pobiegła szybko do sypialni. Po chwili wróciła z książką do modlitwy i, gorączkowo odszukawszy stronic z Ewangeliąmi, postawiła w oknie otwartą, proroczym słowem na chmury zwróconą.

I oto wiatr zmienił kierunek, lipy i brzozy pochylały się teraz w przeciwną stronę... Huragan zwinął skrzydła, zwolnił biegu, cofał się bokiem. Huk cichł... a w zamian w duszy Krzysztofowej brzmiało coraz donośniej krzepiące: „Bądź dobrej myśli!”

VI.

I rzeczywiście, w samym folwarku i na blizkich dworu polach burzy nie było. Ale wracający na południe z bydłem pastuch dowodził, że pod lasem „biło, aż strach! i grad młócił!“ Wystraszona Jadwinia z bolesnym niepokojem oczekiwała powrotu męża. Ten zaś wrócił dopiero na sam obiad, zmieniony bardzo, ale nie zgębiony, i zaraz począł uspokajać:

— Niepotrzebnieś się wylękała, Jadwichno — mówił tkliwie, obejmując kibić żony. — Z dużej chmury mały deszcz. Ja sam myślałem, że będzie gorzej. Skończyło się na strachu.

— Podobno pod lasem grad padał? — spytała, patrząc mu w oczy.

— Pa...pa...dał, ale szkody wielkiej nie zrobił. Nawalnica szła wąziutkim pasem... Żyto trochę przetrzępało, ale pszenicy nic... No, na rzepaku... wiesz!? kropla deszczu nie powstała!

Opowiadał z ożywieniem, lekceważąc umyślnie poniesione straty, zdobywając się na wejrzenie pełne otu-

chy, którem rzucał raz po raz w przysłonione aksamitną rzęsą źrenice Jadwini, jakby chciał wybadać, czy jego słowa wiarę czy wątpliwość budzą. Garnął się przytem tak obcesowo do jej ust, tak częstymi pocałunkami obсыpywał, że Jadwinia, świadoma wrażliwości męża na każdą klęskę, poznać go teraz nie mogła i z niejakim zadziwieniem słuchała tego, co mówił.

Krzyś, nie puszczając jej od siebie, rozповідаł szeroko: o burzy, o rzepaku, o pszenicy, gdzie był, co widział, — tylko o Stykowej, o jagodach nie wspomniał.

A jednak pamiętać musiał, bo w końcu głos mu się załamał, oczy zawilgły i zaraz począł wołać malej Dziuchny do siebie, a potem Jasia wziął z rąk niańki i pieścił się z obojgiem czule, jak człowiek stęskniony, który po długiej nieobecności z dalekiej niebezpiecznej podróży na łono ukochanej rodziny powraca.

I — jak przedtem ekonom — tak teraz Jadwinia zauważyła w duchu, że Krzysia dawno takim nie widziała.

Wydało jej się, że we wszystkim, co czynił, co mówił, w słowach, ruchach, pieścizocie, pocałunkach nawet, zaszła jakaś zmiana, że powoduje nim inna jeszcze, prócz woli, siła.

A równocześnie odczuła i to, że ta moc nieznana jest dobrą mocą i to, że ją tylko wielki ból i wielki żal zrodzić mogły.

Sama też, zapatrzywszy się w twarz męża, poczuła się krzepszą na duchu i weselszą. On zaś, napieściwszy się z dziećmi, chodził dużymi krokami po pokoju, po-

gwizdując jakiegoś marsza i nucąc, co mu się już dawno nie zdarzało. Czasem jednak, przystanawszy, zamyślał się głęboko.

Po chwili podszedł znów do żony, znów ją w pół objął i, jakby nurtującą mu od dawna w głowie myśl wyjawiał, rzekł:

— Mówią, że bieda biedę rodzi... a ja myślę, wiesz, Jadwiniu? że bieda biedę i kończy... Mam jakieś przecucie, że ten grad to już ostatnie zło, jakie nas w Ko... w życiu dotyka.

Wolał powiedzieć w „życiu“, niż w „Kościeszówce“. Wydało mu się to więcej pewnem i bardziej od jego woli zależnem.

Ona zaś odrzekła, składając ręce:

— Daj Boże! Krzychu! Daj Boże!

— Bo, widzisz, największe zło już przeszło — zaczął znów, nie mówiąc, „jakie“ to największe zło przeszło. — I jakoś trzymamy się cało. Żeby tak mógł skąd na mały procent wyrwać pieniędzy... o Warzyńskiego mi nie chodzi... a tych łapserdaków, co mię ze skóry zdzierają, pospłacać... kto wie, czybym się w lat parę z interesów zupełnie nie wygrzebał...

Jadwini zrobiło się nagle gorąco; przyszedł jej na myśl Chojnacki, jego gotowość pomocy, życzliwość szczerą. Usłyszane przed chwilą słowa męża zdawały się usuwać przeszkodę, której się obawiała. I zaczęła rozważać, czy nie lepiej będzie od razu powiedzieć, że Chojnacki z ochotą wygodzi pożyczką, gdyż sam to dawał do zrozumienia. Zawahała się jednak. I zrobiła dobrze, gdyż oto w dalszych słowach męża znalazła niebawem wska-

zówkę, jak wielką przykrość sprawiłoby Krzysioowi samo podsuwanie takiej myśli przez nią.

Bo właśnie mówił w dalszym ciągu:

— Ale to ciężka sprawa! Między szlachtą bieda wogóle, każdy się kurczy... do tych zaś, co mają... nie chciałbym pukać.

Znów zaczął chodzić tam i napowrót wzdłuż pokoiu.

Nagle spytał:

— Jadwiniu! Bardzoby ci żal było Kościeszówki?

Pytanie to zaskoczyło ją niespodziewanie. W pierwszym momencie nie wiedziała, jak odpowiedzieć.

— Bardzo. Ale, jak Bóg zrządzi, tak będzie, Krzychu! — odrzekła po chwili wymijająco. — A tobie? — spytała nawzajem.

Odpowiedział krótko:

— Żal... ale ty jesteś bardzo dobra, Jadwiniu!

I dwa odrębne na pozór pojęcia: własnego żalu i jej dobroci, zlały się mimowolnie w umyśle jego w jedną łączną całość. Nie zdając sobie sprawy, dlaczego, odczuł, że ten żal i ta dobroć mają jakąś nie wspólną, która je jednoczy, i grunt jednakowy, na którym się spotykają.

Więc zaczął, całując ręce Jadwini, z gorączkowem przejęciem powtarzać:

— Tyś bardzo dobra! bardzo dobra! ty nie wiesz nawet, jakaś dobra!

Ona zaś wiedziała w tej chwili jedno: że cokolwiekby ją przy jego boku dotykało, inną mu być nie powinna i nie będzie.

Zarzuciła też obie ręce na jego szyję, szepcząc pieścizotliwie:

— Mój Krzychu! mój Krzychu!

A potem, jakby przypominając cudze słowa, dodała bezwiednie, cichym, tklwym głosem:

— Bądź dobrej myśli!

I oto chmurniejący już wzrok Ożgi począł znów nabierać wyrazu energii i hartu, a z półotwartych ust wybiegło:

— Będziemy sobie radzić jak można.

Tymczasem podano obiad... Obecność niańki przerwała prowadzoną dotychczas rozmowę. Mówiono o rzeczach potocznych. Krzysztofowa teraz dopiero przypomniała sobie, że o bytności tak nieznanego interesanta, jak i Chojnackiego, nic dotąd mężowi nie mówiła, więc rzekła:

— Zapomniałam ci powiedzieć, że miałam z samego rana dwóch gości. Przyjechał jakiś pan... pan... Sonkiel, pytał się o ciebie.

— Sonkiel? Nie znam. Nie mówił, jaki miał interes?

— Nie. Odjechał zaraz. Widać nic ważnego. Był także pan Chojnacki.

— A! Franio!

— Chciał się z tobą zobaczyć, ale mu się bardzo śpieszyło, bo dziś w Pękocławiu próba nowych plugów. Właśnie prosił, żeby ci o tem powiedzieć. Możebyś przyjechał do Pękocławia?

— Miałbym ochotę... Ale przyznam ci się, że jestem tak zmęczony... Dziś mało spałem...

— To się lepiej prześpij po obiedzie, Krzychu! — doradziła troskliwie.

— Tak też zrobię — odrzekł.

Jakoż po obiedzie poszedł do swego gabinetu, leżał na sofie, ale, mimo zmęczenia, zasnąć na dobre nie mógł. Drzemał tylko z zamkniętymi oczyma. Głowa zaczęła go boleć, a pierś przytłaczała duszność. Podniósł się też wkrótce, drzwi oszklone, wiodące do ogrodu, rozwinął, siadł na progu i, oddychając szybko świeżym powietrzem, dumiał.

Tak siedzącego zastała Jadwinia, która weszła do gabinetu przed wieczorem z doniesieniem, że Mendel Sofa z jakimś pilnym interesem przyjechał.

Ożga kazał go przywołać.

Niebawem zjawił się Sofa i, kłaniając się uniżenie, z miną tajemniczą zaczął:

— Ja do jaśnie pana przyjechałem umyślnie... Miałbym coś ważnego do powiedzenia.

Obejrzał się dokoła, dając do zrozumienia, że pragnie mówić w cztery oczy.

— Zostaw nas samych, Jadwiniu — rzekł półgłosem Ożga.

Krzysztofowa wyszła.

Ożga padł na kanapę i niecierpliwym tonem rozkazał:

— Mów!

Faktor jeszcze raz powiódł wzrokiem wokół, chrząknął kilka razy, a potem, przybliżając się do siedzącego, zniżonym głosem rozpoczął od wymyślań na Rajzmana, którego za ostatniego oszusta uważał.

— Niech jaśnie pan nie myśli, że wszystkie Żydki takie — mówił, mrużąc małe, przenikliwe oczy. — Są gałgany, ale są i porządni ludzie. Rajzman—zwyczajny oszust! ale i na niego znalazł się sposób... Same Żydki znaleźli... Jak tylko zrobiło się wiadomo, że wielmożny pan już proces przegrał, tak zaraz wsiedli na niego, żeby z jaśnie panem zrobił zgodę, żeby odstąpił porębę... odprzedał! Musiał przystać. Ja wiem, co on odstąpi i pieniądze poczeka...

Na czoło Ożgi wystąpiły sine pręgi. Skupiał myśli, nie mogąc jeszcze dokładnie zdać sobie sprawy z usłyszanego wiadomości. Żyd uważnie śledził każdy ruch jego twarzy.

— Ciekawym, ileby żądał ten lajdak! — odezwał się po chwili Ożga.

— Onby żądał pięćdziesiąt... tyle mu nawet dawali. Ale my od jaśnie pana kazaliśmy brać tylko czterdzieści tysięcy — odpowiedział pośpiesznie faktor i, podsuwając się jeszcze bliżej, dodał:

— I na rozpłaty i na poczekanie. Trzeba tylko hypotekę dać...

— Gdybym się zgodził, to dam — odrzekł Ożga.

Teraz na twarzy faktora odmalowało się jakby zakłopotanie. Począł przestępować z nogi na nogę, kręcił głową, kościste palce w rzadką brodę zapuszczając, przełykał głośno, nie mówiąc słowa, jakby mu w krtańni zatkało.

Ożga spojrział pytająco i powtórzył:

— W razie zgody dam hypotekę.

— W tem właśnie kłopot, jaśnie panie! — pośpieszył wreszcie z odpowiedzią — że, bez urazy, hypoteki tak dobrze jak niema... Ale może być! może być! Może być i czysta hypoteka i więcej jeszcze — dopowiedział żywo, widząc, że Oźga gniewnie brew ściaga. — My o tem wszystkiem pomyśleli...

— Mów! — rozkazał sucho Oźga.

— Jaśnie pan znalazł młodego Pałkowskiego?

Krzysztof potrząsł przecząco głową.

— Jego ojciec miał u nas przed laty aptekę. Doroślił się trochę grosza... kupił synowi o parę mil stąd majątek... Nie pamiętam, jak się nazywa...

— Mniejsza o to.

— Młody, jak młody, nie długo się zabawiał. Narobił długów i uciekł w świat! A wie jaśnie pan, jak stary Pałkowski oczyścił majątek? ja zaraz powiem...

Tu przerwał i spojrzał w stronę Oźgi, jakby oczekując przyzwolenia.

— Mówże! — zabrzmiało po chwili.

Żyd zaczął znów:

— Ale poco nam stary Pałkowski?! ja jaśnie panu doradzę wprost od siebie, jak zrobić...

Oźga poruszył się niespokojnie.

— Mówże prędzej! nie nudź!

Faktor podsunął się jeszcze bliżej i prawie szeptem mówił:

— Jeszcze wszystko można uratować... Jaśnie pan ma długi na hipotece... jest pan Warzyński, jest kilku naszych i kto inny się trafi... Może nie być nikogo!

Serce Oźgi zabiło młotem, twarz zaczęła drgać nerwowo, na czoło wystąpiły krople potu.

Sofa, jakby umyślnie dla podsycecia ciekawości, znów zamilkł.

Do pokoju wciskał się już mrok wieczorny. Z odblaskiem zapadającego słońca mieszały się cienie zbliżającej się nocy, ciemniało, zasypiało powoli wszystko, ciemniało. Tylko przez uchylone drzwi dolatywał z ogrodu chłód i poświst zapomnianych przez poranną burzę resztek wiatru.

Sofa, umilkłszy, rozglądał się trwożliwie po wszystkich kątach. Rzucił badawczym okiem po ścianach, spojrzął na wiodące do dalszych pokoi drzwi, na siedzącego w zamyśleniu Oźgę.

Szyderczy uśmiech przemknął przelotnie po ruchliwym obliczu fatora.

— Gadajże! — przynaglił Oźga.

Ale Sofa milczał. Wyjął z flegmą tabakierkę, zażył tabaki, dopiero ukończywszy tę czynność, jał mówić szepłeniącym, przyciszonym głosem, a tak szybko, jakby się obawiał, że mu w końcu tchu braknąć może.

— Jaśnie panie! o tem wszystkiem, co powiem, sekret! inaczej nieby nie było... Pan potrzebuje zrobić układ z Rajzmanem... On przystanie... tylko jaśnie pan także podpisze. Potem trzeba wszystko, co się zbierze, wymłócić... można trochę inwentarza sprzedać... trochę na jesieni nie dosiać... I... dopiero puścić Kościeszówkę na licytację! Niech się jaśnie pan nie boi! tylko słucha... Ja wiem że jaśnie panu byłoby bardzo żal taki majątek po ojciech puścić w obce ręce... Ja wiem...

Ożga siedział zasluchany, bez ruchu, jakby do miejsca przykuty. Chciwie chwytały uchem słowa miały dlań jakiś czar piekielny. Weiskały mu się wprost w duszę pokusą, rozbudzały nieuchwytne pragnienia i żądze, a jednocześnie przejmowały na wskrós odrętwiającem uczuciem bezsilności i trwogi. Uczuł w głowie szum, myśli zaczęły się plątać bezładnie; ogarniały go coraz większy niepokój i żal. A żal miał teraz coś poniżającego w sobie. Nie był to już cichy, rzewny smutek, lecz bezwzględne, zimne, męczące przygnębienie — ból wstydu.

I Ożga poczuł w sobie wstyd, który, w miarę jak Żyd mówił — rósł, potężniał, krzewiąc się jak polip w całej jego duszy i zmysłach. I nie było dlań tamy, bo oto też same piekące słowa sączyły z siebie lep jakiś, który do skołatanego umysłu przywierał i wszelką chęć ubezwładniał...

Ożga słuchał, niekiedy tylko zwieszoną głowę podnosząc i rzucając z dyszącej piersi chrapliwe: „mów! mów!”

A Żyd mówił:

— Ja wiem, że jaśnie panu byłoby żal... Ale niema strachu... Teraz ziemia niełakoma... Zresztą, kto mógłby kupić?... Pan Warzyński?...

— Mów!

— Jemu, jaśnie pan wie najlepiej... jemu nie wypada... na licytacyi... kto słyszał! Z naszymi będzie układ — przedstawiał. — Więc kto kupi? Pan Warzyński... nie, nasi... nie! Przyjdzie licytacya... stanie jaśnie pani i kupi na swoje imię za byle co! za po-

lowe szacunku! I hipoteka będzie czysta... Wtedy... wtedy...

Ożga rozprostował się całym ciałem, aż szczękło, powstał, lecz padł zaraz na kanapę, robiąc ciężko pierśią i zimnym jak stal wzrokiem objął całą postać stojącego nieopodal faktora.

Tego zdjął niepokój, zamilkł. Wydało mu się, że w oczach Ożgi widzi teraz jakby przeblysłk długo hamowanego gniewu. Odstąpił kilka kroków w tył, bojaźliwie spoglądając ku drzwiom.

Mrok coraz gęstszy rozpinął ciemną zasłonę wokół, tylko na złożonych ramach rodzinnych portretów, zawieszonych na ścianach gabinetu, błakał się jeszcze ostatni promień zachodzącego słońca.

Przez chwilę milczeli obaj, bo i Ożga, wróciwszy do nieruchomej pozycyi, z podpartą oburącz głową, siedział jak skamieniały, bez słowa. Wreszcie z ust jego wybiegło znów krótkie, urywkowe, ale tym razem groźne:

— Mów dalej!

Więc nastraszonego nieco faktor, zmieniając ton, po niejakiem wahaniu począł jęklonie:

— To jest jedyny sposób, jaśnie panie... Nie będzie żadnych długów... nikt jaśnie panu nic nie zrobi... A potem, jak będzie można, to jaśnie pan zapłaci panu Warzyńskiemu i tym innym... Będą lepsze lata, to się zapłaci... Na początek trzeba tylko jednemu Rajzmanowi dać pewność... Jaśnie pani dziedziczka musi mu dać pierwszy numer — wykladał, urywając w ustępach. —

Niech mię jaśnie pan posłucha, to jedyna rada! inaczej będzie źle... Ten łajdak Rajzman... nie będzie chciał czekać inaczej... gotów subhastować... I co wtedy będzie? Jaśnie panie! kto ma dzieci...

Przerwał, bo w tej chwili dał się słyszeć jakiś szelest w pobliżu, jakby odgłos cichych kroków, a równocześnie silniejszy powiew wiatru wtargnął przez uchylone ościeże do pokoju, zaszeleścił leżącymi na biurku papierami, załopotał po obiciu ścian, poruszając ramami portretów.

Ożga machinalnie podniósł głowę, spojrzał na chwilejące się wizerunki przodków.

Szmer ustał. Sofa znów postąpił krok naprzód i, nawiązując myśl przerwana, kończył:

— Kto ma dzieci, jaśnie panie! powinien myśleć, żeby im co zostawić. Czy nie mam racji, jaśnie panie? Czy nie mam racji? — powtórzył, a potem dodał jeszcze tonem delikatnej przestrogi, w której jednak tkwiła na dnie groźba i postrach: — Niech jaśnie pan nad tem pomyśli, bo inaczej może być źle!

I umilkł, czekając odpowiedzi.

Lecz Ożga nie odpowiadał nic, bo w tej chwili odchodziła go już przytomność. W głowie, w piersiach, sercu, duszy całej miał tylko jeden wielki jęk wszystkich dobrych ludzkich uczuć. Bo oto na wspomnienie dzieci zaczęła w nim naprzód kwilić rodzicielska miłość, po pulsujących gorączkowo tętnicach poszedł ból od serca, zatargał potrząsł nerwami i całą pierś aż po krtań wypełnił.

Potem ten ból rodzicielski startł się z innym, jeszcze potężniejszym, więcej jeszcze goryczy mieszającym bólem, który spływał na Ożgę z dalekich wyżyn, niejako z zakrain niewidzialnych, i rył się w duszę, krusząc każdą czującą tkanę.

I dwie fale uczuć, piekące zarem, siekące jak różgi, zwarły się z sobą w chaotycznym uścisku, walcząc zawzięcie o ubezwładnioną rozterką wolę...

Wtem w martwych oczach Ożgi pojawił się błysk dziki, pierś wyprężyła się gwałtownie, wydając chrup bezdźwięczny, w twarz uderzyła ulewa krwi szlacheckiej, pokrywając policzki purpurą. Bo oto w tej chwili w rozbolącej jego duszy zwyciężała szlachetna duma pokoleń, które tej ziemi czystemi rękoma broniły, zwyciężała uczciwa szlachecka godność — i zwyciężyła.

Ożga, jakby podrzucony niewidzialną siłą, powstał nagle.

Wyczekujący faktor wziął to za objaw zgody i dla jej przyspieszenia jął przedstawiać jeszcze:

— Kto ma dzieci, powinien im zostawić...

Lecz w tym momencie głos zamarł mu w gardle.

Ożga szedł ku niemu z groźnie zaciśniętymi rękoma, krwawo-siny, dygocący, straszny.

— Jaśnie panie! — jęknął, cofając się ku drzwiom.

Nie zdążył jednak, bo w tej chwili pochwyciły go zylaste dłonie...

I Ożga runął nań z przejmującym do szpiku krzykiem:

— Precz! precz! łajdaku! kusicielu! precz!

A potem pchnął z całej siły przed siebie, ale i sam zatoczył się równocześnie i stanął jak wryty.

Przez uchylone sąsiedniego pokoju drzwi padała struga światła. Na progu stała Jadwinia.

Machinalnie zasłonił twarz oburącz, nie śmiejąc postąpić kroku.

Wreszcie z kurczowo-zaciśniętych ust jego wymknęło się westchnienie i szept zdławiony:

— Słyszałaś!?

Ona zaś, niby duch dobry, podeszła prędko i, nie odpowiadając nic, oplótła rękoma szyję męża.

— Słyszałaś? — jęknął znowu.

Przyłożyła lepkie wargi do jego rozpalonego czoła.

— Tak — odrzekła łagodnie.

— Ruina! ruina! Wszystko stracone! Niema ratunku! Trzeba będzie w świat!... za chlebem! gdzie oczy poniosą! — mówił bezładnie, rozpaczliwym, nieswoim głosem — gdzie oczy poniosą!

— Byle z tobą, byle z czystym sumieniem, byle... bez krzywdy ludzkiej... Krzychu! — odpowiedziała, garncząc się do jego piersi.

Wziął ją w objęcia i zatrzymał długo.

— Moja dobra! moja dobra! — szeptał, okrywając pocałunkami — moja dobra!

Na inne słowa nie mógł się zdobyć w tej chwili.

I tak stali czas jakiś obok siebie uściskiem złączeni, niby dwa krzewy, wzajemnej podpory szukające.

Milczeli oboje — tylko serca mówiły do siebie przyśpieszonym tętnem.

Wreszcie z ust Ożgi wybiegło, jakby do niego samego zwrócone:

— Dzieci! dzieci! co im zostanie?

Jadwinia spojrzała nań pogodnym wzrokiem, a potem, podsunawszy mu pod brodę dłoń miękką, skierowała lekko głowę męża za strugą płynącego po ścianach światła. Popatrzył w tę stronę.

Światło biegło z portretu na portret, rozjaśniając szlachetne twarze pradziadów.

— Dobrze imię — szepnęła teraz.

On ryknął płaczem.

VII.

Radca Proński od pewnego czasu podupadał coraz więcej na zdrowiu i gospodarstwem prawie zupełnie zajmować się przestał, wyręczając się Jangrotom, który, mieszkając blisko, codzień do Prońska dojeżdżał, teścia we wszystkim zastępując.

Prócz zwykłego podeszłemu wiekowi osłabienia, zgnębiły pana Kwiryna interesa Oźgi, którym zaradzić nie mógł, a głównie pełne wyrzutu przypomnienie, że, uczestnicząc w sprzedaży lasu, bezwiednie ruinę zięcia przyspieszył.

Na tym punkcie czuł się niepocieszonym, a nie mogąc znaleźć skutecznej rady, starał się w końcu unikać wszystkiego, coby mu w pamięci ów fakt odświeżyć mogło. Więc przedewszystkiem wyrzekł się osobistego kierunku gospodarstwem, nawet do gumien rzadko wychodził, bo tu wszystko przypominało mu mimowoli Kościszówkę. Nie wyjeżdżał też z domu prawie nigdzie, aby ludziom smutnem obliczem nie świecić. Niekiedy wyjątkowo wpadał do Barszczewskiego, aby się czegoś no-

wego dowiedzieć i uzbierany smutek z piersi w pogawędce wyrzucić, zaglądał czasem do Kościeszówki, bo chociaż miał do zięcia urazę, jednakże kochając Krzycha bardzo, nie chciał mu tak widocznie nieukontentowania okazywać. Poza tem nie bywał u nikogo, lecz odsuwnawszy się umyślnie od świata i ludzi, w samotności szukał ukojenia troski o przyszłość ukochanej córki i wnucząt.

Najczęściej zamknięty w swoim pokoju stawiał ad infinitum pasyanse, lub czytał gazety, układając polityczne horoskopy.

Były to jedyne przyjemne dla pana Kwiryna chwile. Zatopiony w czytaniu, zdawał się zapominać o wszystkim, a jeśli jeszcze gazety przynosiły mu jakąś kombinację polityczną po sercu, wpadał w złoty humor i Jangrotowi przy spotkaniu opowiadał z chwałą:

— Widzisz! od razu mówiłem, że tak będzie!

W równej mierze gryzł się radca Kwiryn, gdy „plany“ nie dopisały, co, nawiasem mówiąc, o wiele częściej się zdarzało... Zwłaszcza z Bismarkiem nie mógł sobie Proński dać rady, a cła zbożowe spotęgowały jeszcze wrodzoną nienawiść do żelaznego księcia, któremu wszystko złe, poczynawszy od upadku Napoleona, przypisywał. Więc ilekroć kanclerz niemiecki poniósł porażkę w parlamencie, cieszył się radca Kwiryn tak, jakby go oświadczenie największe szczęście spotkało, — przeciwnie, gdy bismarkowska idea brała górę, martwił się, chmurniał, tracił apetyt i na gwałt układał nowe, wrogie dla zamiarów niemieckiego premiera powikłania.

Na takiej zabawce, która powoli przeobrażała się

w manię, schodziły Prońskiemu dni i tygodnie. Stopniowo obojętniał na wszystko, a wzwyczajwszy się do takiego trybu życia, żył po prostu życiem sztucznem, które mu jednak najzupełniej wystarczało, nierad był też, jeśli mu cośkolwiek rzeczywistość przypomniało.

Właśnie — a było to w jaki tydzień po owym pełnym dla mieszkańców Kościeszówki wstrząśnięciu — siedział radca Proński na ganku, czytając *Gazetę Warszawską*, zły i skwaszony, bo oto bonapartyści, wbrew jego przewidywaniom, ponieśli przy wyborach sromotną porażkę, a rzeczpospolita utrzymywała się coraz silniej, gdy lokaj przyniósł mu list i, wręczając, rzekł:

— Z Konopnicy. Posłaniec czeka na odpis.

Proński z niechęcią rozerwał kopertę, mrużąc:

— Pewnie Warzynder (radca w ostatnich czasach nazwiskom osób mniej lubianych zwykł był nadawać końcówkę niemiecką) o procencie przypomina. Już to mój pan zięć punktualnością nie grzeszy.

Lecz skoro tylko zaczął czytać, twarz mu się rozjaśniła.

Pan Warzyński nie tylko, że się o procent nie upominał, ale przeciwnie, w dopisku zawiadamiał, że tak na kapitał jak i procent może jeszcze poczekać, w samym zaś liście prosił, aby kochany radca w dzień Świętego Ignacego domek jego swą obecnością koniecznie zaszczylić raczył. Pisał przytem, że się spodziewa kilkunastu osób, a między nimi i Krzysia, i nadmieniał, że, poza przyjemnością ujrzenia drogich gości pod swoją strzechą, skłania go do tej prośby inny jeszcze powód wielkiej wagi, o którym jednak na razie musi zachować mil-

czenie, odkładając szczegółowsze wyjaśnienie do chwili, w której szanownego sąsiada będzie miał szczęście w Konopnicy powitać.

Radca ze zdumieniem odczytał list i przez chwilę wahał się, jaką dać odpowiedź. Nie wypadało jednak odmawiać, choćby przez wzgląd na Ożgów, którzy od grzeczności Warzyńskiego zależeli. Odpisał przeto Proński, że „będzie służył“, choć w głowę zachodził, co Warzyńskiego do tak ekstraordinaryjnego zaproszenia zniewoliło.

— Coś w tem jest — rozważał. — Za lepszych czasów nigdy imienin nie wyprawiał, a teraz raptem mu się zachciało. Coś w tem jest!

A tak go ów zapowiedziany „fest“ w Konopnicy zachęcił, że dni kilka o czem innem nie rozmawiał, ustawicznie wracając do tej materii. W końcu jemu i pani Tekli wydało się najprawdopodobniejszym, że pan Ignacy chce przy tej sposobności bratanka, Stasia Warzyńskiego, w świat wprowadzić i okolicznemu obywatelstwu zaprezentować, a że zaproszony również Jangrot skwapliwie podzielił domysł teściów, więc Proński tem bardziej i nieodwołalnie postanowił życzeniu Warzyńskiego zadość uczynić.

Niemniejsze zadziwienie, a powtórne i zakłopotanie, wzbudziły zaprosiny pana Warzyńskiego w Kościeszówce.

Krzyś początkowo miał zamiar wymówić się grzecznie nawalem zajęć gospodarskich i interesów, co zresztą było prawdą.

Lecz ostatecznie też same, co i teścia, względy

doradzały mu skorzystać z uprzejmości sąsiedzkiej, tem bardziej, że na dobrych stosunkach z życzliwym wierzycielem obecnie więcej jeszcze niż poprzednio zależało.

Potrzebował czasu do wyszukania kupca na Kościeszówkę, gdyż ostatecznie, rozpatrzywszy się na chłódno w interesach, doszedł do przekonania, że sprzedaż majątku z wolnej ręki jest jedyną najpomyślniejszą dlań drogą wyjścia ze smutnego położenia. A chociaż myśl rozstania się z ojczystym gniazdem była dlań nader bolesną, znajdował niemałą ulgę, pocieszenie i przykład pokornego poddania się woli Opatrzności w Jadwini, która od owej rozprawy z Sofą niewysłowioną słodyczą obejścia i spotęgowaną jeszcze miłością zbroiła go w męstwo i otuchę. Czuł się też Ożga mężniejszym i spokojniejszym, niż przedtem, a raz pogodziwszy się z przeznaczeniem, dokładał tylko sił wszelkich, aby powzięte zamiary bez nowych przeszkód do skutku doprowadzić.

Więc przedewszystkiem, jedynie dla zwłoki, polecił swemu adwokatowi przenieść sprawę o porębę do ostatniej instancyi, a sam, zakrzętnawszy się, z „nowego“ procenty drobniejszym wierzycielom podoreczal, zaś panu Warzyńskiemu gotował się w początkach jesieni razem i bieżące i zaległe odsetki zapłacić, równocześnie prosząc o dalszą prolongatę kapitału. Obawiał się jedynie, czy wobec zachwianego stanu majątkowego Warzyński na propozycję tę przystanie.

To też, o ile w pierwszej chwili zakłopotał się zapraszającym listem Warzyńskiego, o tyle po namyśle wi-

zyta w Konopnicy wydała mu się bardzo dobrym pretekstem do równoczesnego ubicia interesu. Zdecydował się przeto stanowczo jechać. Teraz chodziło wyłącznie o Jadwinę, którą Warzyński najsolemniej zapraszał, ona zaś nie miała wielkiej ochoty, obawiając się odjeżdżać dzieci, ile że Jasiowi zaczęły się wykluwać ząbki i malec niedomagał.

Lecz i ta przeszkoda została usunięta. W przeddzień imienin zjechała do Kościeszówki bona z dziećmi Bortnickich, wysłana przez panią Julię, która się również do Konopnicy wybierając z mężem, prosiła, aby przez ten czas dziatwa pod okiem Gęgarzewskiej pozostać mogła.

„Będę spokojniejszą, a i ty o swoje — pisała — gdyż w ten sposób to bona, to Gęgarzesia będzie mieć nasze pociechy na oku. Tylko zapowiedz, żeby Adasiowi nie dawać owoców i żeby nie pił zimnej wody... Chciałam dzieci sama do was odwieźć i przy tej sposobności uścisnąć cię, moja droga! i nagadać się z tobą, a mam wiele do pomówienia, ale krowa złamała nogę, odprawiłam pastucha i robię bulion, więc się ruszyć nie mogę, aż skończę. Do widzenia zatem, kochana Jadziu, w Konopnicy! Przyjedź koniecznie! zobaczysz, że ci coś dobrego powiem“.

Jakoż, po otrzymaniu „żywej przesyłki“, Jadwinia nie opierała się więcej i w dzień Świętego Ignacego obydwójce Krzysztofostwo wyruszyli do Konopnicy.

Tu oczekiwano ich przyjazdu niecierpliwie. Uradowany gospodarz wybiegł przed ganek i, podziękowawszy

za złożone na wstępie życzenia, wrócił do salonu co prędzej, mówiąc:

— Tylko nam państwa brakowało jeszcze, bo już wielu łaskawych na starego zrzedę przyjechało. Państwo Jangrotowie są... państwo Bortniccy są... Kotarscy są... Jest pan Szalawa... Chojnacki, a nadewszystko kochany, zacny radca nie odmówił i na równi ze mną kochanych państwa z niecierpliwością wygląda.

Zgromadzeni w salonie goście powitali przybyłych wesołymi wykrzyknikami. Proński, niezwykle rozpromieniony, wziął w objęcia naprzód córkę, a później Krzysia w czoło kilkakrotnie pocałował, a miał taką minę, jakby mu coś nadzwyczajnego powiedzieć pragnął, bo już usta otwierał szeroko, lecz stojący obok gospodarz powstrzymał go znaczącym gestem, więc ten, zamiast czego, począł tylko chrząkać, pomrukując:

— Jak się masz! jak się masz! cóż tam słyszeć?

Poczem zawiązała się ożywiona rozmowa o tem i o owem. Rej wodził, jak zwykle i wszędzie, pan Szalawa, a że mu właśnie pani Bortnicka dopiero co opowiedziała o smutnym losie dorzniętej krowy, więc pokpiwając sobie, zaczął z udanem ubolewaniem dopytywać się o szczegóły, dotyczące nieboszczki, o wiek, o rasę, przymioty, o znaki szczególne, o przyczyny nieśczęsnego wypadku.

— Pewnie holenderka? — pytał.

— A jakże! czystej krwi. Niech mąż... niech Adaś powie!

— A młoda?

— Czteroletnia. Niech Adaś powie.

— No i jakże się to stało? — ciągnął za język rozgadana kobiecie, kiwając głową i uśmiechając się ukradkiem, Szalawa.

A pani Julia, zawsze powołując się na świadectwo rozmawiającego w tej chwili z panem Kotarskim męża, opowiadała w dalszym ciągu z coraz większym zapalem:

— Wstałam rano do doju... jak zwykle, niech Adaś powie, bo i jego budzę. Wydojono przy mnie, kazałam wody naciągnąć pełne koryta, bo właśnie dałam krowom soli...

— Niech mąż powie! — mruknął półgłosem Szalawa, podrzeźniając.

— I wyobraźcie sobie, moi państwo! spuszczały bydło z łańcuchów, a ten doniczego Filip, zamiast roztworzyć wrota na ścieżaj, uchylił tylko połowę wrótni. Ja na niego! niech Adaś powie... a tu akurat patrzę, biedna boczuła uderzyła się o futrynę i kuleje... Patrzę... nogą powłóczy... Dalej ja do krowy... Noga złamana. Niewiele myśląc, dałam Filipowi w kark i wypędziłam na cztery wiatry! Niech Adaś powie!

Szalawa, z trudnością powstrzymujący się od śmiechu, wybuchnął teraz w głos:

— A to szybki wymiar sprawiedliwości! Juścić zasłużył ten Filip doniczego.

— Alem go z powrotem przyjęła, bo mi się żal zrobiło — wtrąciła Bortnicka, nic sobie z ogólnej wesołości, jaką opowiadanie wzbudziło, nie robiąc.

— To jeszcze piękniej — podchwycił, nastrajając

się poważnie, Szalawa — jeszcze piękniej, pani dobrodziejo! Dziwi mnie tylko jedna rzecz... a mianowicie...

— Co takiego? co takiego? — spytała, poruszając się, mimo okazałej tuszy, z żywością na krzeselku.

— Że pani osobiście dogląda udoju... dobrze, że krowkom soli daje... wybornie, że Filip „doniczego...” zgoda, że to wszystko prawda... wierzę, skoro (tu ukażał ręką na Bortnickiego) jest świadek pod ręką. Ale... dlaczego pani dobrodziejka, mając Adasia w pobliżu, nie wyręczyła się mężem w wymiarze sprawiedliwości?... to przechodzi moje pojęcia! Nawet skutek byłby lepszy...

— O! nie wiem! — odcięła żywo, ukazując utuczoną piastkę. Ale zarumieniła się przytem po same uszka, bo poczęte się śmiać okrutnie.

Co zauważywszy, „książę”, rad z konceptu, począł zaraz przyzywać Bortnickiego, wołając:

— Chodźno tu, „świadku!” Pokaż swoją prawicę!

Lecz ten, znając Szalawę na wylot i domyśliwszy się z zasłyszanej rozmowy, o czym rzecz idzie, nie ruszył się z miejsca, tylko spojrzawszy z ukosa na „księcia”, rzekł:

— Sąsiada zawsze się żarty trzymają. Ktoby się domyślił, że to już szósty krzyżyk za pasem!

Szalawa, który zawsze przy spotkaniu miewał z Bortnickim utarczki, a na wszelkie przycinki o wieku był nader drażliwy, zmarszczył brew i już miał ostro odpalić, ale w tej chwili zaturkotało, dał się słyszeć przeciągły świst i czwórka kasztanków mignęła pod gankiem.

— Kotowicz! — zauważył głośno Szalawa, podbie-

gając ku oknu. — Śwista na konie, jak na psy — mruknął i skrzywił się, przypomniawszy sobie o owym wyścigu z Oźgą.

Gospodarz wyszedł szybko do sieni na spotkanie gościa, niebawem też wrócił z panem Kotowiczem razem. Ten, powitawszy obecnych, skinął na Chojnackiego i, odprowadziwszy go na bok, rzekł:

— Siedziałem do tej chwili u reagenta. Wszystko gotowe. I ustępstwo i cesya... — I podał mu plik papierów, które Chojnacki pośpiesznie schował w kieszeń.

Poczem wrócił do towarzystwa, a Kotowicz znów gospodarza odciągnął na bok i coś mu z ożywieniem rozповідаł. Ten zaś przywołał z kolei Bortnickiego i Kotarskiego, podeszła do nich również pani Julia i wszyscy spółem rozmawiali przez chwilę po cichu, niekiedy z ukradka w stronę siedzącego obok Jangrotowej Oźgi spoglądając.

Układano widocznie jakąś niespodziankę, czy też chciano coś w tajemnicy przed Oźgami zachować. Tak się przynajmniej wydawało Jadwini, która już od dawna coś niezwykłego w zachowaniu się obecnych dostrzegłszy, z niejakim niepokojem patrzyła teraz na rozmawiających na uboczu. Również i Krzys, choć miał innemi myślami zajętą głowę i mniej zwracał uwagi na to, co się wkoło niego działo, czuł się jednak jakby odosobnionym. Spojrzał pytająco na żonę. Jadwinia odpowiedziała wejrzeniem.

A potem wzrok obojga padł w stronę Chojnackiego, jakby w jego twarzy szukali rozwiązania zagadki. Lecz Chojnacki rozmawiał najswobodniej z panem Proń-

skim, poważny, jak zwykle, spokojny, pogodny. Niekiedy tylko kąty ust zadrgały mu nerwowo i w jasnych żrenicach przebiegło mgłą zamyślenie.

Tymczasem podano obiad. Zrobił się rum i ruszono do stołu parami.

Chojnacki znalazł się przy Krzysztofowej, podał jej ramię i powiódł w milczeniu. W niej serce zabiło żywiej, bo oto wydało się jej, że drżał cały i tylko wzruszenie odbierało mu mowę. A nie czuła teraz, idąc przy Chojnackiego boku, żadnej bojaźni, nie lękała się słów, które każdej chwili z ust jego wybiedz mogły, owszem pragnęła je usłyszeć i w miarę, jak się posuwali zwolna za drugimi, ogarniała ją coraz większa ciekawość i chęć dowiedzenia się, jaka myśl tę pocziwają głowę zaprzęta. Albowiem wierzyła, że ta myśl może być tylko dobrą, podniosłą, więcej niż zacząć nawet, bo szlachetną, a jednocześnie rodziła się w jej duszy dziwna pewność niedalekiej, wielkiej radości, czegoś, co prawdziwego szczęścia bardzo blizkie, tylko jeszcze cenniejsze, bo je serdeczną wdzięcznością, jak wszystko stracone, a odzyskane powrotnie, okupić trzeba.

I takim przecuciem wiedziona, zaczęła naprzód patrzeć w twarz Chojnackiego przenikliwie, a potem, gdy doszedłszy do miejsc, przeznaczonych u stołu, puścił jej ramię, spytała nagle miękkiem, pełnym słodczy głosem:

— O czym pan myślał w tej chwili, panie Franciszku?

On zaś, podsuwając krzesło, odrzekł z uśmiechem:

— Ach! jaka pani ciekawa!...

I odszedł szybko na drugi koniec stołu, gdzie obok radcy Prońskiego zajął miejsce.

Krzysztofowa, z trudnością panując nad wzruszeniem, zaczęła pośpiesznie jeść zupę, łykając lzy rozrzewnienia, cisnące się gwałtem do oczu, nie patrząc na nikogo, nie odrywając utkwionego w porcelanową zastawę wzroku.

Po chwili dopiero, uśmierzywszy rozczulenie, odważyła się spojrzeć przed siebie. Wejrzenie jej padło najpierw na siedzącego przy Jangrotowej męża. Na twarzy Krzysia znać było przymus i zakłopotanie, nie licujące z chwilą. Na pytania Jangrotowej odpowiadał urywkowo, często skinieniem głowy tylko, jakby mu wszelka rozmowa ciążyła.

Ale i na twarzach innych osób dostrzegła Krzysztofowa podobny jak w mężowskim obliczu wyraz, tylko więcej do wstrzemięźliwie hamowanego zaciekawienia zbliżony. Uderzył ją przytem nastrój poważny, jakaś nie-naturalna oględność w prowadzonych półgłosem rozmowach i jakby brak szczerości we wszystkim, na co jej żrenice patrzyły. Natomiast wydało się Jadwini zupełnie pewnem, że stan taki jest tymczasowym, że lada chwila przeminie, a po nim nastąpi to właśnie, na co wszyscy zdawali się z niecierpliwością oczekiwać, to, czego pragną, a strzegą się wyjawić przedwcześnie.

Jakoż istotnie większość biesiadników nie zdradzała zwykłej ochoty do pogawędki.

Krzykliwa zazwyczaj Julka Bortnicka teraz półszeptem zwierzała się pani Kotarskiej ze swych kłopotów gospodarskich i macierzyńskich, opowiadając

szczegółowo przebieg subiekcyjnalnej słabości najstarszej pociechy, dwuletniego Adasia. Przytaczała z ubolewaniem stosowane w kuracyi dyetetyczne środki, jak „niejedzenie surowych owoców i niepicie zimnej wody“, co jednakże nie przeszkadzało jej samej ćwiczyć z apetytem i dobierać raz po raz z obnoszonych przez służbę półmisków. Siedzący nieopodal Bortnicki robił toż samo, niekiedy z pod oka spoglądając na żonę, w obawie, czy mu tego za złe nie weźmie. Kotarski z Kotowiczem rozpowiadali od niechcenia o rezultatach tegorocznego sprzętu, a nawet lubujący się w głośnym gwarze, a nie znoszący milczenia Szaława zaniemówił jakoś i, jakby mu czegoś brakowało, siedział chmurny i zasepiony.

Jeden tylko radca Proński używał co się zowie. Zyskawszy w Chojnackim powolnego słuchacza, roztrząsał przed nim wszelkie najświeższe zagadnienia polityki, przy każdym wyrażając swoje pro i contra. Jak zwykle, Bismark był w robocie. Prawo wyjątkowe, a zwłaszcza ostatnie antypolskie dzieło żelaznego księcia, bank kolonizacyjny ze stumilionowym funduszem, przeznaczonym na wykupienie ziemi z rąk tubylczych i zalanie drogą pseudolegalną dzielnic nad Wartą germańskim żywiołem, dostarczały panu Kwirynowi obfitego materiału do przeróżnych wniosków i uwag.

Właśnie po „pasztecikach“, ujawszy Chojnackiego za kłapę tużurka, mówił na ten temat z przejęciem:

— Zadziwiająca istotnie rzecz, jak się losy spiknęły na to, aby nas od tej ziemi oderwać. Wszystko zdaje się dążyć do tego, aby nas z zagona zepchnąć, pod-

stępem lub siłą wyrugować. Nic też dziwnego, że w takich warunkach zniechęca się wielu i ustępuje.

— A jednakże ci, którzy wytrwają, przetrwają — zauważył z przekonaniem Chojnacki.

— Zapewne. Chociaż z każdym rokiem ktoś z szeregów ubywa. Ten sprzedał, inni sprzedali, ów wyniósł się z resztkami do miasta... szukać na innym polu spokojniejszego kawałka chleba... Boleśnie to powiedzieć... ale ubywa... po jednym ubywa... Upadamy!

Tu Proński westchnął głęboko, a Chojnacki, który słuchał uważnie, wtrącił teraz:

— A najboleśniej, że upadamy na duchu, że słabiejemy, zamiast mężnieć, że rozluźniamy łączne ogniwa i pojedynkiem borykamy się z przeciwnościami, zamiast w zwartym kole, jak to już powiedziałem, przetrwać i na lepszą dolę zarobić.

— Kiedy... bo widzisz, kochany panie Franciszku — zaczął znów radca, ale mu przerwał Kotarski, który, przysłuchując się od pewnego czasu rozmowie, rzekł:

— Złote słowa pana Chojnackiego. Zgadzam się najzupełniej. Idziemy pojedynkiem, bez spójni, bez łączności i to nas głównie osłabia. Póki dobrze, to dobrze, ale w razie klęski, czy nieszczęścia, człowiek nawet śmiałości nie ma zwrócić się do sąsiada o pomoc... Szamota się czas jakiś, broni... walczy... a potem... — machnął ręką. — Dawniej nie tyle może były lepsze czasy, co lepiej żyć umiano. Teraz najbliższa rodzina nie żyje między sobą tak, jak przed laty całe okolice. Zobojetnieliśmy względem samych siebie, a przytem z drugiej strony wyrodził

się w pojęciach jakiś wstyd fałszywy, co się nam nie raz do tego, co boli, przyznać nie pozwala... I oto dla czego z każdym rokiem, jak to poprzednio zauważył radca dobrodziej, odpada ktoś, niby zeschnięta gałąź od tego pnia szlacheckiego...

— A jednak ten pień ma w sobie dość jeszcze soków zdrowotnych, aby każdą gałązkę odżywić — odezwał się na to Chojnacki.

A potem z niezwykłym w jego ustach entuzjazmem dodał jeszcze:

— A tak głęboko zapuścił korzenie w tę oto ziemię, że choć gałęzie padać będą, on oprze się trzębacy falom i ostoi... Ja przynajmniej nie wątpię o tem.

Co rzekłszy, spojrział roziskrzonym okiem na Kotarskiego, ten zaś jął pośpiesznie potakiwać:

— Ani ja! ani ja! Tylko więcej tego, co się to bractwem nazywa... jak bywało w dawne lata, kiedy to nas ziemian wielkiem bractwem nazywano.

— Wielkie bractwo! wielkie bractwo! — powtórzył Proński i zamyślił się.

Kotarski mówił w dalszym ciągu:

— Ja sam nawet temu bractwu wszystko, co mam, zawdzięczam. Pamiętam jak dziś, choć temu bez mała lat czterdzieści. Młokos... zaczynałem gospodarkę z niewielkim kapitałem na dzierżawie. A dzierżawiłem właśnie od ś. p. dziada tu obecnego pana Krzysztofa folwark od Kościeszówki. Akurat, jakby o tej porze, przy końcu pszennych zniw, pała mi się stodoły z całą krescencją! Asekurować się nie było jeszcze w modzie... zo-

stałem więc na czysto. Chodziło mi najwięcej o tenutę dzierzawną, bo nieboszczyk pan Jan Ożga był pod tym względem wielki rygorzysta i terminu stricte pilnował. Przeto na drugi dzień po pożarze wybieram się do Kościeszówki prosić o prolongatę... Tymczasem, nim konie zaszły, patrzę... zajeżdża pan Jan, a z nim kilku jeszcze sąsiadów. Niewiele myśląc, korzystam ze sposobności i jeszcze w ganku dalej z pokorną prośbą... A stary jak nie fuknie! Myślałem, że mię obije! „Za kogoż ty mię masz, młokosie, żebyś o takie rzeczy prosił! Z czegoż będziesz płacił? Z kupy popiołu?!“ Wyobrażcie sobie, że przez trzy lata następne jeszcze nie chciał wziąć grosza; zaledwie w czwartym, kiedy już dobrze stanąłem na nogi, przyjął... Takie to wtedy były stosunki...

Miał jeszcze coś więcej do powiedzenia, ale w tej chwili siedzący na vis-à-vis Szalawa przechylił się do połowy stołu i zaczął mrugać znacząco, wskazując oczyma to na gospodarza, to na napełnione kieliszki, wreszcie zwracając się do Prońskiego, szepnął:

— Trzebaby gospodarskie... solenizanta! Cienkusz... ale pić można...

Radca skinął potakująco, zaraz też powstał i, zadzwoniwszy trzonkiem noża o kieliszek, wniósł toast:

— Zdrowie kochanego pana Ignacego, dzisiejszego solenizanta!

I wypił duszkiem. Inni również, powstawszy, wypili, a uradowany gospodarz biegał koło stołu z „bocianką“ w ręku, dziękując i dolewając.

Poczem sam przepił na „podziękowanie“.

Tera... zrobiło się nieco gwarniej, posypały się z kolei inne „zdrówia“, czego pilnował skrupulatnie Szalawa, który, czując się w swoim żywiole, stopniowo odzykiwał dobry humor i werwę.

Wstawano już od stołu, kiedy przybył gość nowy. Był nim Barszczewski. Nieprzewidziany interes nie pozwolił mu zdążyć wcześniej, tłómaczył się na cały głos, składając Warzyńskiemu życzenia, a po cichu spytał:

— No? jakże tam?

— Wszystko gotowe. Czekaliśmy tylko na sąsiada — odrzekł również po cichu Warzyński.

Barszczewski zatarł ręce, poczem sam zaczął domagać się wina, bo chciał za zdrowie solenizanta także wychylić.

Niebawem też podano kilka butelek „cienkusza“, jak mówił Szalawa, do salonu, gdzie się całe towarzystwo z jadalnej sali przeniosło. Barszczewski wypił, gospodarza kordyalnie wycalował, a potem zaczął krążyć od jednego do drugiego, zagadując o tem i owem.

Z przybyciem Barszczewskiego zrobiło się zaraz weselej, przytem wino rozwiązało języki. Mężczyźni poczęli się skupiać w gromadki, gawędząc i popijając; nawet Ożga rozchmurzył się na dobre i dowcipkował z Julką Bortnicką, która go na krok nie odstępowała.

Jadwini wydało się, że Julkę ktoś umyślnie, jakby na straży, przy Krzysiu postawił. Niemniej zauważyła, że rozprawiający z Kotarskim i Chojnackim gospodarz ciągle Krzysia ma na oku, a wuj Barszczewski, jakiś papier odczytawszy, uśmiecha się pod wąsem, ilekroć spoj-

rzy w jej stronę, ojciec zaś ma taką minę, jakby się czegoś radosnego już dowiedział, tylko że mu o tem jeszcze mówić nie wolno.

I znów serce zabiło w niej żywiej.

Wtem w gronie rozmawiających wszczął się ruch. Wszyscy, jak na komendę, sunęli na środek salonu, gdzie stał stolik z winem. Co widząc, Julka Bortnicka pociągnęła raptownie Ożgę w tę stronę.

Gospodarz rozlał wino. Wtedy pan Kotarski podnosząc w górę kieliszek, ni stąd, ni zowąd, rzekł z naciskiem:

— Za zdrowie... kapitalistów! W ręce pańskie, panie Krzysztofie!

— Kapitalistów! — powtórzono chórem.

Ożga zdumiał. Machinalnie przyjął podany kieliszek i stał jak wryty, wodząc zmieszonym wzrokiem wokół, nie wiedząc, co począć, nie pojmując, co ten niezwykle toast oznacza.

Teraz zbliżył się doń Barszczewski i, ujmując pod ramię, przemówił:

— Pijże, Krzychu! Nad czem myślisz! Przecie to zdrowie pana Warzyńskiego... państwa Bortnickich... kochanego Frania!

A radca Proński, któremu już lzy ciurkiem po twarzy spływały, nie mogąc się dłużej powstrzymać, wykrztusił napół z płaczem:

— Twoich zacnych wierzycieli!

Poczem rzucił się w objęcia stojącego przy nim gospodarza i już więcej szlochając, niż mówiąc, jął wołać:

— Jadziu! chodź-no i... ty... tutaj!

Wezwanie było zbyteczne. Krzysztofowa, w pierwszym zaraz momencie domyśliwszy się wszystkiego, bez namysłu zerwała się z kanapy i lotem ptaka znalazła się przy boku męża. W dodatku Julka Bortnicka zaczęła jej szeptać na ucho:

— Widzisz! Jadwichno! widzisz! właśnie miałam ci mówić, że... — opowiadała z żywością, przytykając w palce, pociągając zadartym noskiem i zaglądając w mokre oczy Krzysztofowej.

Ta zaś, położywszy dłoń drżącą na szyi męża, stała z zatrzymanym oddechem, z błagalnym wyrazem w źrenicach, ze strugą łez pod powieką, jak nawiedzona, co własne uczucia w pierś drugą przelać pragnie, a uczucie tych świadomością sama uchwycić nie jest w stanie, bo płyną szybko, przelewają się w duszy wrzątkiem, kołyszą wirem, są, lecz dalej poza serce wybiedz jeszcze nie mogą.

Dopiero rozrzewniony głos ojca wrócił jej poczucie jawy, rozbudził z bezwładzy. Odruchem nagłym wychyliła się z za ramion Krzysia, ukazując twarz rozczuleniem napojoną, dziękczynienia pełną.

— Jestem — wyrzekła z cicha.

A potem zaczęła spozierać to na ojca, to na Chojnackiego, to na innych kolejno, aż wreszcie wzrok jej zatrzymał się znów na mężowskim obliczu i spoczął na niem niema, łagodną prośbą.

Tymczasem nachylony nad siostrzeńcem Barszczewski kładł mu w dalszym ciągu w uszy historię pomocy sąsiedzkiej. Że pan Warzyński prolongował sumę na lat

dziesięć, że, Bortniccy, spłaciwszy drobnych wierzycieli, weszli w ich prawa, nadewszystko zaś, że Chojnacki nabył od Rajzmaną pretensye do poręby na bardzo dogodnych warunkach i, rzecz prosta, zrzeka się ich na rzecz Oźgi za zwrotem wypłaconej Żydowi sumy...

— Proces samo przez się upada — przedstawiał nalegająco — a interes jest tak dobry, że się w lat parę ratami wypłacisz... Nie róbże przeto pocziwym ludziom przykrości jakimś dzikim uporem...

To mówiąc, pocałował Krzysia w czoło.

Ten zaś stał z ustami półotwartymi, z szyją wydłużoną, całym ciałem podany naprzód, niejako zastygły w ruchu. Tylko w skurczowo ściągniętych rysach miał coraz to inną rzeźbę tłoczących się pod czaszką myśli, a piersią robił tak szybko i ciągle, jakby mu tchu brakowało. Bo oto w duszy Oźgi odbywał się teraz ferment w jeden chaotyczny kłęb splątanych uczuć, grały w nim wszystkie tony, wszystkie akordy wzruszeń szły przez serce. Więc stracił świadomość samego siebie i chwiał się duchem od bieguna do bieguna, od zadraśniętej dumy do serdecznej wdzięczności.

Barszczewski kończył szeptem:

— Żeś sobie przyjaźń ludzką zaskarbił, to chyba nie wstyd!

Teraz i inni jeli podchodzić ze słowami przyjacielskiej zachęty.

— Nie zmniejszajże własnej zasługi, panie Krzysztocie! — odezwał się Kotarski, bezwiednie utrafiając w tęż samą, co i Barszczewski, myśl — zarobiłeś na przyjaźń ludzką, więc choćby dlatego pomoc ci się na-

leży. Nie myśl przytem, że to komuś uszczerbek przyniesie... Zresztą nie wolno ci odmawiać! Tak, nie wolno! — powtórzył z naciskiem. — Masz obowiązki, obowiązki święte, przyrodzone... Nie mówię już o rodzinie... bo tu nie tylko o majątek idzie, lecz o dziedzictwo! o posterunek, któregoś bronić winien! Niema tak szlachetnych pobudek, któreby cię zwolniły z tej placówki, jeśli się na niej ostać możesz i następcom swoim przekazać, jak ją i tobie przekazano. Tak, panie Krzysztocie! tu nie tylko o ratunek ziemi idzie...

— Lecz i o ten szmat nieba nad nią, o to, co przez nią przeszło! O grusze polne! o krzyże cmentarne! o pracę całych pokoleń, które na niej wzrosły i pomarły! — podchwycił gorąco milczący dotychczas Chojnacki, zbliżając się do stojącego w nieruchomej postawie Oźgi.

A równocześnie Julka Bortnicka zaczęła piszczeć:

— Kuzynku! kuzynku!

Zaś radca Proński burknął:

— Czego się ty boczysz!? hm!

I wymachując rękami, posunął się w stronę zięcia, jakby go siłą popchnąć zamierzał.

Nie było jednak potrzeby, gdyż w tej chwili Oźga zatrząsł się na nogach, ręce rozkrzyżował i rzucił się w objęcia Chojnackiego z drgającym głębią uczucia okrzykiem:

— Franek!

Zapanowało głuche milczenie, którego nikt przerwać nie śmiał.

A Oźga ścisnął bez końca, powtarzając urywanym, dyszącym głosem:

— Franek! Franek!

Wreszcie łyzy mu się puściły, zapłakał...

Chojnacki z lekka wysunął się z jego ramion, ukazując wilgotnemi również oczyma na Warzyńskiego i Bortnickich. Ożga rzucił się ku nim. Rozczulenie zabrało mu słowa. Więc tylko szeptał:

— Bóg zapłać! Bóg zapłać!

I padał wszystkim z kolei w objęcia i szlochał. Potem wrócił jeszcze raz do Chojnackiego, jeszcze raz zawiśł na jego szyi i, zapanowawszy nieco nad wzruszeniem, rzekł:

— Nie mam słów! nie mam! Przyjmuje... z wdzięcznością przyjmuje... Ale...

— Niema żadnego „ale!“ — zaczęto protestować.

— Ale pod warunkiem, że ustanowicie administrację. Dopóki grosz długu zostanie... Kościeszówka nie mo-
ja! Od tego nie odstąpię — dokończył stanowczo.

— Niechże i tak będzie — odrzekł na to Warzyński — lecz nawzajem warunek. Administratorem... będziesz ty, panie Krzysztofie!

— Nikt lepiej gospodarstwa nie poprowadzi! — wtrącił Kotarski.

— To się wie! to się wie! — potaknięto.

Ożga zatarł czoło, chciał jeszcze oponować, ale go po prostu zakrzyczano. Więc tylko spojrzał pytająco na teścia i zamilkł. Ten zaś z twarzą rozpromienioną, wzięwszy pod ramię Warzyńskiego, zaczął:

— Krzys ma słuszość! trzeba ustanowić administrację! i ja jestem za tem.

— Więc pan Krzysztof będzie tylko administratorem do czasu, jeśli o to chodzi — odparł Warzyński.

— Z wyznaczoną pensją... a resztę...

— Właśnie toż samo miałem mówić — potaknął szybko Ożga.

— A ile? ile? — zaśmiał się Warzyński, sądząc, że to żart.

Ale Proński zupełnie seryo rzekł:

— Myślę, że przy mieszkaniu, opale... paręset rubli wystarczyć powinno...

— Wystarczy — potwierdził Krzys. — Wystarczy...

— My więcej nie wydajemy — wtrąciła, aby coś powiedzieć, Bortnicka, ale połapała się zaraz, że jej odezwanie było nie w porę, więc zarumieniła się po same uszy, zwłaszcza, że stojący nieopodal Szalawa mruknął lekceważąco:

— Wierzę! cały rok wieprzowiną żyją, a w piątki kartofle w mundurach!

„Książę“ dotychczas trzymał się na uboczu, nie mieszając się do rozmowy. Był rozczulony i zły zarazem. Wszystko, na co patrzył, stało się bez jego udziału. Nawet nie wiedział, że się coś podobnego przygotowuje, bo zachowano przed nim tajemnicę, aby się przedwcześnie nie wygadał. To go gniewało. Jakoż stracił na humorze i, choć go „brało“, powstrzymywał się umyślnie, milczeniem dając poznać niejako, że go takie pominięcie zabolalo. Dopiero nietrafne „wyrwanie się“ Bortnickiej, z którą lubił się przekomarzać, wróciło Szalawie rezon i rozwiązało usta.

Natychmiast też podszedł do rozmawiającego z Kotarskim Krzysia, ze zwykłą sobie rubasnością wołając:

— Dajże gęby! administratorze? Niechajże i ja będę na tych godach!

Poczem zaczął Ożgę obcałowywać, sapiąc, chrząkając i pokrzykując raz po raz:

— Ja zawsze mówiłem, że się to wszystko dobrze skończy! I na mojem stanęło!

— Proroctwo łatwe — zauważył, uśmiechając się pod wąsem, Kctarski — skoroś „książę“ pierwszy na to dzwonił...

Na twarzy Szalawy odmalowało się nieudane zdziwienie.

— Bo trzeba ci wiedzieć, panie Krzysztofie — opowiadał w dalszym ciągu Kotarski — że, gdyby nie „książę“, mogło się na dobrych chęciach skończyć.

— Jakto? — rzucił Szalawa, nie wierząc własnym uszom.

— A tak. Nastraszyłeś sąsiad tego Sonkiela, czy Sonkla, inaczej byłby niechybnie porębę kupił.

Tu począł rozpowiadać szczegółowo o całym zdarzeniu, podnosząc znalezienie się Szalawy.

Ten zaś słuchał i rósł — bo wydało mu się teraz, że w słowach Kotarskiego niema istotnie żadnej przesady. Przeciwnie, stopniowo przychodził do przekonania, że, gdyby nie on, najszlachetniejsze zamiary Chojnackiego byłyby musztardą po obiedzie. Mimo to osądził, że należy być skromnym i nie wysuwać się zbytęcznie naprzód; rzekł przeto od niechcienia:

— Wolne żarty! Zgadało się... więc zbrzydziłem Podlasiakowi interes...

Ale w duchu myślał inaczej. Zaraz też powiódł dumnem okiem wokół, pokręcił szpakowatego wąsa i, odzyskując dobry humor, zaczął przyzywać gospodarza, dając mu gestami do zrozumienia, że in gratiam takiej chwili wypić warto.

Więc pan Warzyński, pośpiesznie napełniwszy kieliszki, skinął na „księcia“, a ten, nie zwlekając, huknął z całej piersi:

— Staropolskie! Kochajmy się!

I wychyliwszy do dna, rozbił szkło o ziemię, bo mu już zwykła fantazyja wracała.

— Kochajmy się! — zawtórowano z entuzjazmem.

Rozległ się brzęk kieliszków, pogwar krzyżujących się wykrzykników; zaczęto się wzajemnie brać w objęcia, pierś do piersi przyciskać, dłońmi kordyalnie potrząsać.

Wśród zgiełku i gwaru zapomniano o Krzysztofowej. Tę zaś oniemiało wzruszenie, spłoszyła wielka radość.

Korzystając z zamieszania, odbiegła na bok i zaszyła się w sam kącik salonu. Tylko dobre jej oczy biegły stamtąd z twarzy na twarz, z osoby na osobę, zdając się mówić: Kochani! Dobrzy! Serdeczni!

A za oczyma poszła i jej dusza, jej serce, jej wszystkie, do ostatniej, myśli.

I stała w tym zachwycie czas jakiś, niemocą bezmiernego szczęścia objęta.

Wreszcie wzrok jej padł na pogodną twarz Choj-

nackiego. I oto w jednej chwili, bez woli jasnej, bez jakiegokolwiek rozmysłu, znalazła się tuż przy nim.

Wyciągnęła doń dłonie i ledwie dosłyszalnym głosem zaczęła:

— Dzie...ku...ję... za...

Nie dał jej skończyć. Chwycił gorączkowo obie jej ręce, do ust poniósł. W siwych oczach mignął mu jakiś błysk, jakiś żar skier, ale zgasł natychmiast, niejako stłumiony głuchem, ciężkiem westchnieniem, co mu z rozkołysanej piersi wybiegło...

Przed Krzysztofową stał znów dawny, spokojny, poważny, o twarzy smutnej, choć uśmiechniętej życzliwie, człowiek i mówił z zakłopotaniem:

— Powinność obywatelska... Powinność obywatelska!

Równocześnie z drugiego końca salonu dał się słyszeć głos politykującego z Barszczewskim, radcy Kwiryna, który, ukazując na Chojnackiego, mówił:

— Ot! przydaliby się tacy Chojnacy w Poznańskiem! Zjadłby Bismark sto par dyabłów, nimby ich do Monako wyprawili.

A Barszczewski odrzekł:

— Prawda.

E P I L O G.

Mijał rok za rokiem. Kościeszowskie poleśie już od lat dwóch rodziło bujnie chleb powszedni.

W dzień 5-go Jana siedziała pani Krzysztofowa na ganku, przyglądając się zabawnym skokom Jasia, który, dosiadłszy kija, cwałował po dziedzińcu, podcinając prowizorycznego rumaka prętem i wykrzykując wesolo:

— Wio! wio!

Obok matki stała Dziuchna z książką w ręku.

Skończono właśnie przedpołudniową lekcję.

Wtem rozległ się głos gospodarskiego dzwonka. Dzwoniono na południe. Na ścieżce, wiodącej ze stodoły, ukazał się Ożga.

— Tatuś! tatuś! — zawołał Jaś, ujrawszy ojca, i, porzucając wierzchowca, pobiegł naprzeciwko.

Ożga również przyśpieszył kroku i po chwili, prowadząc malca za rękę, znalazł się przy żonie.

Był zakurzony od stóp do głowy, zmęczony, zgrzany, ile że od świtu dozorował wynajętej do młocki lokomobili. Zaraz też siadł na ławce i, gładząc głowę syna, rzekł:

— Matusiu! Każ mi tam dać co przekąsić. Z obiadem pewnie poczekamy na rodziców. Powinni niedługo nadjechać. Może i Chojnacki przyjedzie. Prosiłem, żeby rachunki sprawdził.

Na te słowa Dziuchna zakreśliła się jak fruczka i pobiegła wyreczyć matkę.

— Masz już wyrekę, Jadwiniu! — zauważył.

Uśmiechnęła się, siadając obok niego. Poczem, ukazując na Jasia, rzekła:

— I ty...

— Ba! ba! — odezwał się żartobliwie. — Dla mnie to mało... mało...

Pokreślił wąsa, spoglądał filuternie i niby od niechcienia zaczął oczyma wodzić po wierzchołkach lip rozłożystych.

Na jednej było gniazdo bocianie. Właśnie para „wojtów“, zaklekotawszy głośno, wbiła się w powietrze, przelatując tuż ponad dworem.

— A co? Nie mam racyi? Mało! — zaśmiał się, zacierając ręce.

Jadwinia udała, że nie słyszy. Ale zaczął dogadywać coraz więcej, coraz wyraźniej wspominać o potrzebie większej ilości „pomocników“, więc dała mu klapsa i, wzięwszy Jasia na kolana, przemówiła:

— Mój jedynaku! mój jedynaku!

Krzyś nasrożył się nibyto, burknął odgrózką:

— Zobaczymy!

Ale że właśnie wracała Dziuchna, więc dalszą sprzeczkę przerwano, zwłaszcza, że jednocześnie rozległ się z pobliskiej drogi turkot szybko toczącego się pojazdu.

Niebawem nadjechali Prońscy z Julką Bortnicką, która się z radcostwem zabrała, ponieważ mąż, umówiwszy się poprzednio z Chojnackim i Warzyńskim, miał razem z nimi dopiero po południu przyjechać.

Jakoż w parę godzin potem ściągnęli wszyscy trzej. Zaraz też Ożga poprosił ich do kancelaryi dla przejrzenia rachunków i zamknięcia całorocznego bilansu.

Zajął im to niewiele czasu, tak, że wkrótce wrócili do towarzystwa, zwiększonego nadejściem Szalawy, który, usłyszawszy z Zabłocia świst lokomobili, per pedes puścił się do Kościeszówki, aby Krzychowi, jak mówił, natrzeć uszu za tak nieprawidłową gospodarkę.

Na wstępie też zaczął od wymówek:

— Bój się Boga, Krzychu! Ś-ty Jan, a ty młócisz! To wbrew tradycyi! wbrew, panie... tego... wszelkim kombinacyom! Psujesz po prostu handel — perorował z udanym oburzeniem.

Ozdze pochlebił koncept „księcia“, odrzekł przeto wesoło:

— Nie moja wina, lecz tych oto panów, którzy nakazali mi sprzeniewierzać się starym zwyczajom.

I ukazał ręką na Warzyńskiego i Chojnackiego.

A Chojnacki wtrącił:

— Niedługo już naszego panowania. Bo oto trzeba pani wiedzieć — zwrócił się do Krzysztofowej — jeszcze jeden rok taki, jak obecny...

— A będzie kwita — przerwał Warzyński.

— No! no! kochany sąsiedzie! — zaprzeczył Proński. — A poręba?

— Poręba sama się splanca — podchwycił żywo Chojnacki. — Taki mam układ, od którego nie odstąpię. Co rok dwieście korcy jęczmienia.

— Aż do skutku — dodał Szalawa, a że go już poważna rozmowa zaczynała nudzić, więc przysiadłszy się do Bortnickiej, jął dowcipkować, straszac „zakazem wywozu trzody chlewnej“ i „zarazą na drób“, która jakoby pojawiła się w okolicy.

Bortnicka odcinała się jak mogła, lecz w końcu, nie mogąc się opędzić, wyszła z Dziuchną do ogrodu pod pretekstem obejrzenia świeżo założonej szparagarni i nie wróciła aż na podwieczorek.

Po podwieczorku uradzono wyjść w pole, zwłaszcza, że Ożga musiał na chwilę opuścić gości, gdyż przyrzekł kosiarzom odmierzyć przed wieczorem pokoszony łąk konieczny.

Wyszedł tedy pierwszy, a za nim całe towarzystwo.

Dzień miał się ku schyłkowi. Słońce opadało coraz niżej, wchodziło w ziemię, niby złożony lemiesz, ciągnąc za sobą skibę purpurowych blasków.

Kościuszowscy goście szli, rozmawiając wesoło, gościńcem, wysadzonym lipami, w stronę plebanii. Tu spotkali kanonika, który, wyszedłszy na spacer, odmawiał wieczorne modlitwy. Ksiądz Tomasz przyłączył się do towarzystwa, ale że jeszcze zaczętych pacierzy nie skończył, więc pozostał nieco w tyle.

Zato Jaś, którego również na przechadzkę zabrano, przodował, brykając jak żrebak, właśnie bowiem znalazł odpowiedniego wierchowca w porzuconej przy drodze tycze.

W powietrzu wiał już chłód, więc Jadwinia, w obawie zaziębienia, zaczęła przyzywać malca do siebie:

— Jasiu! Jasiu! nie męcz się! Powoli! bo będziesz kaszlał! Zobaczysz!

Ale mały zbereźnik nie posłuchał, tylko jeszcze szybciej popędził, wyskakując i chichocąc.

— Uparty, jak ojciec — odezwiała się do idącego przy niej Chojnackiego Jadwinia.

Ten zaś, odrzekłszy: „tak“, puścił się w pogoń za malcem i po chwili miał go już w ramionach i niósł trzepocącego się do matki. Dziecko zachmurzyło się, nadasało, co widząc, Chojnacki zaczął żał malca łagodzić obietnicą prawdziwego kuca, na co Jaś odpowiedział wesołym wykrzyknikiem i głośnym pocałunkiem w same usta „wuja“, bo tak obydwójce z Dziuchną Chojnackiego nazywali.

A „wuj“, nie puszczając przygodnego siostrzeńca z ręki, opowiadał pieścizotliwie o owym kucu: jakiej maści, jakiego wzrostu. Wreszcie spytał:

— A nie będziesz się bał jeździć?

— Nie! — odrzekł malec śmiało.

— A gdzie będziesz jeździł?

— W pole, do gospodarstwa — brzmiała odpowiedź dziecka.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się Szalawa. — Patrz-

cie państwo! takie bobo już o gospodarstwie myśli. Jest coś we krwi! jest!

— Nie ulega kwestyi — zauważył Warzyński. — Czytałem... nie pamiętam, w którym już piśmie, o typach zawodowych... A mnie się zdaje, że są i uczucia zawodowe, z którymi się na świat przychodzi.

Szaława kiwnął potakująco głową.

A Warzyński mówił dalej:

— Ot, na przykład, niedaleko szukając, trzech moich bratanków. Pokończyli uniwersytety... kształcili się niabyto na doktorów... prawników... a ostatecznie rzucili w kął wszystko dla pługów...

— „...Bo nad wszystkie ziem branki milsze Laszki kochanki“ — zacytował Bortnicki.

— Milsze! milsze! — podjął Warzyński — choć, na rozum biorąc...

— Et! „na rozum!“ „na rozum!“ — przerwał Warzyńskiemu Szaława. — Nie wszystko daje się brać „na rozum“. Ja, na przykład, podczas oblężenia Paryża ćwiczyłem koninę, aż mi się uszy trzęsły, a teraz przez gardłoby mi nie przeszła! choć... „na rozum“ biorąc, cóż lepszego wół od konia?

Na te słowa wszyscy parsknęli śmiechem, bo „książę“, jako żywo, w Paryżu nie był; Bortnicki zaś, korzystając z okazji zakpienia sobie z Szaławy, zagadnął:

— „Książę“ pewnie wprost z Paryża do Ciechocinka pojechał, gdyż przypominam sobie, żeśmy się tam akurat w dzień kapitulacyi spotkali.

Szaława na wzmiankę o Ciechocinku spojrział na

Bortnickiego z ukosa i, nie odpowiadając wprost, rzekł do Warzyńskiego:

— Paradny jest ten Adaś! Z najpoważniejszej rzeczy kpi. Bo przyznasz sąsiad, że...

— Ależ przyznaję! przyznaję! — potwierdził, uśmiechając się, Warzyński. — Porównanie zupełnie trafne. Jak sąsiad do koniny, tak my wszyscy wogóle do zajęć poza rolą bierzemy się tylko z konieczności!

— Czego ja za złe nie uważam — odezwał się radca Proński — bo ta ziemia potrzebuje rąk i serca.

Tu spojrział na Chojnackiego. Ten zaś powiódł wzrokiem wokół i rzekł z mocą:

— Tu nas przeszłość zasiała, tu przyszłość zastać powinna.

— Zawszy to mówiłem — mruknął do siebie Szaława.

A Warzyński dodał:

— Tylko idźmy ławą, tylko trzymajmy się razem.

A że właśnie ujrzał w oddaleniu stojącego w pośrodku gromady włościan Ożgę, więc wyciągnął rękę, w tę stronę ukazując, i, jakby dla nawiązania przerwanej myśli, powtórzył:

— Tylko trzymajmy się razem!

— Amen! — wyrzekł kanonik, składając brewiarz.

Na przydrożnych lipach brzęczał rój pszczół, nucąc pieśń o pracy.

KONIEC

